Rok II. Lwów, 1. maja 1900. Nr. 5.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

PRENUMERATA WYNOSI

rocznie K. 3.20, z przesyłką 3.68: kwartalnie 80 h., z przesyłką 92 h. — Numer pojedynczy 30 h., na prowincyi 32 h. W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W zaborze rosyjskim 4 ruble. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Zygmuntowska l. 12 A. Filia Administracyi w Krakowie przy pl. Dominikańskim l. 2.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały.“ *Krasiński.*

Solidarność trójzaborowa.

Skutkiem podziałów państwa polskie-[illegible] nasze rozbitem zostało na części i wcielone do państw zaborczych. Odtąd, oprócz wyjątkowych momentów dziejowych, społeczeństwo nasze utraciło możność rozwijania się i życia w całości, w sposób harmonijny, ze względu na różne zabory. Każdy z tych ostatnich ma swoją historyę, odrębne warunki polityczne, każdy wystawiony jest na odmienne wpływy kulturalne.

Prawda, po za tą odrębnością warunków pozostaje jeszcze wspólność języka, tradycyi, wspólność kultury polskiej. Ale sama ta kultura ulega pewnemu różniczkowaniu w poszczególnych zaborach.

Prasa, która jest bardzo dokładnem odbiciem kultury, odmienną jest w zaborze rosyjskiem, odmienną w Galicyi lub Poznańskiem. Ta rozbieżność polityczna, społeczna i kulturalna wywołuje skutki bardzo ujemne. Mieszkańcy jednego zaboru nie znają mieszkańców drugiego, nie znają warunków wśród których żyją, wpływów, którym podlegają i t. d.

Ze wszystkich zaborów — pruski jest najmniej znany dla mieszkańców Królestwa, Galicyi lub Litwy.

Nie jeden Królewiak lub Galicyanin lepiej zna teoretycznie Francyę niż Poznańskie. Z drugi[illegible] tego ostatniego w ogromnej większości wypadków nie podlegają ożywczym prądom „Młodej Polski“. Te pisma polskie, w których przebija się myśl śmiała, ogarniająca jak najszersze horyzonty myśli i czynu — nie mają prawie prenumeratorów w Poznańskiem.

Okoliczność ta odbiła się bardzo ujemnie na umysłowości rodaków naszych z zaboru pruskiego. Pisma tamtejsze są słabe pod każdym względem, uczonych nie ma tam prawie.

Smutnem to jest, tembardziej, że to samo Poznańskie w połowie XIX wieku przodowało pod względem cywilizacyjnym — innym dzielnicom polskim.

Dlaczego zaszła taka zmiana? Trudno na to odpowiedzieć. Nie możemy w tej chwili zajmować się tą kwestyą; wymagało by to bowiem gruntownego przeglądu dziejów politycznych i kulturalnych zaboru pruskiego, co odwlekło by nas od głównego tematu artykułu niniejszego.

Stosunki między zaborem rosyjskim a Galicyą są o wiele bliższe, ale nie tak blizkie, jak należało by sobie życzyć.

Galicya posiada wyższe zakłady naukowe polskie, posiada lepsze warunki dla swobodnego rozwoju cywilizacyi narodowej: dlatego też obcowanie mieszkańców zaboru rosyjskiego z mieszkańcami Galicyi jest częstszem. Wszystkie pisma polskie zwracają ciągle uwagę na Galicyę, na jej życie autonomiczne i kulturalne. Z drugiej strony, to co wiedzą Królewiacy o Galicyi, jest jeszcze niedostatecznem. Najlepsze korespondencje ze Lwowa i Krakowa zastąpić nie mogą pism miejscowych, w których życie galicyjskie odzwierciadla się lepiej i pełniej, niż w tych ostatnich. Warunki cenzuralne utrudniają stałe czytanie pism galicyjskich; tem bardziej, że tylko pisma codzienne wychodzące w zaborze austyackim, mogą dokładnie infomować czytelników polskich z poza Galicyi o życiu miejscowem.

Galicya nie ma pism tygodniowych lub miesięcznych, w których miejscowe życie społeczno-kulturalne odbijało by się wiernie i wszechstronnie. O ile więc łatwiej byłoby, pomimo przeszkód cenzury rosyjskiej, czytać galicyjskie pisma miesięczne w Królestwie; o tyle niepodobieństwem jest czytać systematycznie gazety. Daleko już łatwiej Galicyanom zapoznać się z życiem społecznym i kulturalnym zaboru rosyjskiego.

Warszawa posiada dobre tygodniki, w których życie miejscowe odbija się wyraziście. Prawda cenzura rosyjska stawia duże przeszkody, ale za to Galicyanin dowiedzieć się może o tem co się dzieje w zaborze rosyjskiem, a o czem cenzura w Warszawie nie pozwala pisać, z pism wychodzących poza Królestwem.

Zarówno w pismach galicyjskich, jak i innych. są liczne korespondencye z Królestwa, w których są wiadomości dokładne o tem, co się dzieje w Warszawie.

Ale po za sferą tych wiadomości niecenzuralnych, których w pismach warszawskich znaleść nie można, jest cały szereg innych bardzo ważnych, które w pismach tych, czytelnicy galicyjscy lub poznańscy zawsze znajdą.

Mówiliśmy o złych stronach tej wzajemnej nieznajomości stosunków w trzech zaborach, chodzi teraz o środki zaradcze.

Łatwiej jest nabyć wiadomości o różnych zaborach przez czytanie, niż przez osobistą obserwacyę, która wymaga podróży.

Na pierwszym planie postawić należy czytanie pism mieszkańców jednego zaboru, przez mieszkańców drugiego.

Galicyanom można by polecić „Głos" lub „Prawdę". Są to tygodniki w ogóle dobrze redagowane, prenumerowanie których przynieść może duże korzyści.

Dobrze jest czytać także niektóre miesięczniki wychodzące w Warszawie jak np.: „Bibliotekę warszawską", lub „Ateneum". Pisma te nie odzwierciadlają tak dobrze jak tygodniki życia miejscowego, różnych jego prądów i kierunków, dają jednak dużo artykułów obszerniejszych o stosunkach społecznych, o rozwoju nauki w Królestwie.

Oprócz pism jest cały szereg dzieł historycznych, ekonomicznych, statystycznych, etnograficznych, geograficznych i literackich, które dać mogą wyborne pojęcie o zaborze rosyjskim.

Krakowska „Krytyka" zawiera często ciekawe artykuły o zaborze rosyjskim.

Zaznaczyliśmy już, że Królewiakom trudniej jest czytywać pisma galicyjskie.

Dlatego też muszą oni poprzestać na korespondencjach o Galicyi do pism warszawskich, i na dziełach specyalnych o Galicyi tej kategoryi, co wyżej wymienione o Królestwie.

Najtrudniej jest zapoznać się z zaborem pruskim.

W pismach warszawskich, krakowskich lub lwowskich bardzo trudno znaleść dobre korespondencye z Poznania, a tem bardziej ze Szląska pruskiego.

Trzeba się zatem uciekać do książek specyalnych i artykułów większych rozprószonych po czasopismach.

Redakcya „Promienia" postara się w szeregu artykułów wymienić prace większe i mniejsze, opisujące poszczególne zabory już to w całości, już to pod pewnym szczególnym względem.

Dotychczas mówiliśmy o teoretycznem poznaniu różnych części Polski.

Obecnie chcielibyśmy wypowiedzieć kilka uwag w kwestyi poznania praktycznego różnych dzielnic Polski.

Przedewszystkiem młodzież starać się powinna o poznanie całej Polski; raz dla tego, że w wieku młodzieńczym łatwiej to osiągnąć, powtóre dla tego, że wtedy wrażenia, które otrzymujemy, są najżywsze.

Młodzież z Królestwa mogła by w większej liczbie napływać do Galicyi celem uczęszczania do wyższych zakładów naukowych. Lepiej by było, aby mniejsza ilość słuchaczy wyjeżdżała do Szwajcaryi, Niemiec lub Francyi, a w zamian za to, aby więcej ich przybywało do Krakowa i Lwowa.

Ci, którzy dla tych, lub innych powodów nie mogą lat kilka przebywać w Galicyi, starać by się powinni choć na kilka miesięcy wyjechać do Krakowa, Lwowa lub Poznania i odwrotnie. Prawda, nie każdemu pozwalają na to środki, ale też wycieczka taka nie jest tak strasznie kosztowną.

Często bardzo mieszkańcy jednego zaboru mają przyjaciół lub krewnych w drugim, co ułatwia im przedsiębranie wycieczek, o których mowa. Młodzież posiadająca fachowe wykształcenie, jak technicy, handlowcy, chemicy, mogła by dla zapoznania się z warunkami życia społecznego w różnych zaborach na czas jakiś starać się o zajęcie w zaborach innych, niż ten z którego pochodzi. Naturalnie nie chodzi tu o to, aby ciągle prowadzić życie koczownicze, tembardziej, że w każdym zaborze jest wiele pracy na miejscu, która wymaga dużo sił; lecz o to tylko, aby przez poznanie różnych części Polski rozszerzyć swe widnokręgi społeczno-polityczne i stworzyć tę trójzaborową solidarność, która jest dla nas tak potrzebną.

Mieszkańcy Królestwa w swej trudnej walce z caratem potrzebowali i potrzebować będą Galicyan. Ci ostatni w walce z obskurantyzmem, szlachetczyzną, w walce w imię szerszych ideałów społecznych i politycznych potrzebować będą Królewiaków.

Poznańskie najwięcej może potrzebuje i potrzebować będzie pomocy materyalnej, moralnej i intelektualnej z innych zaborów. Solidarność trójzaborowa w przeciwstawieniu do trójzaborowego lojalizmu powinna być naszem hasłem.

Jak żyje młodzież.

W warszawskiem wydawnictwie „W naszych sprawach“ (Szkice w kwestyach ekonomiczno-społecznych) znajduje się artykuł pt. „O uposażeniu młodzieży uniwersyteckiej“ (Antoniego Potockiego). Autor opierając się na statystycznej pracy studenta medycyny p. Zdzisława Kowalskiego, który w r. 1896 przeprowadził ankietę nad „Stanem zdrowia i warunkami hygienicznymi studentów uniwersytetu warszawskiego“, oraz na danych uzyskanych z ogłoszenia „Kwestyonaryusza w sprawie uposażenia i obdłużenia młodzieży uniwersyteckiej“ w r. 1899, uzyskał dość ścisły całokształt warunków materyalnych wśród których żyje ogół młodzieży. Szkoda tylko, że nie uwzględniono tu także warunków życia studentów polaków w uniwersytetach rosyjskich i zagranicznych jak w Niemczech, Francyi, Szwajcaryi, gdzie ilość kształcącej się młodzieży polskiej stanowi tak znaczny procent. Byłoby to tem bardziej pożądanem, że warunki te okazały by się na pewno w ciemniejszych barwach, aniżeli w kraju.

Uzupełnieniem pracy p. Potockiego natomiast, obejmującem życie młodzieży uniwersyteckiej w całej Polsce, byłoby przedstawienie stosunków życiowych młodzieży w uniwersytetach galicyjskich. A przedstawiłby się przygnębiający obraz. Jeżeli bowiem w Warszawie są stosunki opłakane, to w Krakowie lub jeszcze bardziej we Lwowie młodzież żyje i rozwija się w atmosferze zatruwającej jej organizm. Nie tylko stosunki materyalne, będące wynikiem ogólnego ubóstwa kraju

są tutaj gorsze, ale kulturalnie niskie, środowisko społeczne, wśród którego młodzież przebywa, stanowią w wysokim stopniu wpływ ujemny.

Bądź co bądź w Warszawie społeczeństwo polskie pojmuje swój moralny obowiązek opiekowania i zajmowania się losami młodzieży. Rozumie i odczuwa konieczność takiego poparcia uczących się zastępów, wobec stanowiska i charakteru innego „opiekuna“ tj. moskiewskiego uniwersytetu, który zbyt często władzę swą zdaje w ręce żandarmów. Młodzież zaś w ten sposób zyskuje jeden punkt oparcia więcej przeciwko wpływom rządowym.

Opieka ta, bardzo być może, w niejednym kierunku jest nieodpowiednia, może nawet nie wystarczająca (np. pod względem materyalnego uposażenia), w każdym jednak razie lepiej, że społeczeństwo zajmuie się choćby niedostatecznie młodzieżą, niż gdyby się wcale nie zajmowało.

A przykład tego mamy w Galicyi. Wypływem to naturalnie w znacznym stopniu istniejących stosunków politycznych i ich ugrupowania, oraz zupełnie zwichniętego kierunku rządów autonomicznych. Młodzież już od najmłodszych lat wzrasta w przekonaniu, że rząd jako rząd jest nietykalny, nie ma racyi więc przeciw niemu występować, tembardziej, że to jest rząd polski (!). W ten sposób młodzież wyzbywa się wszelkiej opozycyjności, która jest pierwszym krokiem do wyrobienia sobie krytycznego poglądu na stosunki i sądu samodzielnego. Następstwem tego jest zrezygnowanie z tego wszystkiego, co wymaga osobistej inicyatywy, natężenia energii, w ogóle samopomocy. Ponieważ wierzy się, że sfery rządzące czy to krajowe czy też państwowe mają przedewszystkiem na celu opiekę i pomoc młodzieży — młodzież ta żywi przekonanie, że byle się tylko uchwycić jakiegoś urzędu lub instytucyi będącej w związku z powyższemi władzami, można mieć zapewniony byt dla ukończenia studyów a nadewszystko rękojmię karyery na przyszłość. Dlatego to taka olbrzymia część młodzieży w Galicyi ciśnie się gwałtem do biur i urzędów, bez względu na to, czy zajęcie takie odpowiada, czy nie. A ztąd płyną dalej znów, nieuniknione, tak cenne, a dla młodzieży galicyjskiej charakterystyczne przymioty ducha: płaszczenie się i serwilizm, bierność i kretynizm umysłu.

Zapewne, musimy przyznać, że wobec braku innych źródeł zarobku, wobec tego że korepetycye w szkołach średnich są „przywilejem“ uczniów klas wyższych tychże, a nie młodzieży akademickiej, wobec braku zakładów technicznych lub przemysłowych, w którychby młodzież znajdywała pracę więcej odpowiednią i lepiej wynagradzaną — iż zajęcia biurowe materyalnie stosunkowo jeszcze najlepiej się opłacają. Moralnie jednak przynoszą bardzo wiele szkody. Pod ich wpływem młodzież w Galicyi karleje.

Zapobiedz temu mogłyby znowu tylko te sfery, wśród których bezpośrednio młodzież się rozwija i żyje. Wiemy już jednak w jakim kierunku one oddziaływują. Ogół t. zw. inteligencyi znamionuje tak bezbarwny i jednostajny sposób życia, tak szczupły i pierwotny zakres wymagań kulturalnych, że to mdłe środowisko nie może być wyrazem jakichś świadomych, konkretnych postulatów nawet w tak ważnej dziedzinie życia społecznego, jaką jest troska o byt młodych pokoleń. To też nawet tak naturalnego objawu zajęcia się losami młodzieży, jakim jest n. p. w Warszawie coroczna materyalna pomoc na wpisy — w Galicyi nie widzimy nigdy.

Zadużo by miejsca zajęło, gdybyśmy chcieli bardziej szczegółowo wniknąć w stosunki i życie studentów w Galicyi, zwłaszcza, że to nie leży w planie tego artykułu. Poruszamy jednak myśl, może ktoś z pośród kolegów z uniwersytetu lub techniki podejmie się opracowania tego tak ważnego pod względem społecznym tematu.

A teraz wróćmy do studenteryi warszawskiej. Życie jej w świetle cyfr przedstawia się wcale nie wesoło. To też słusznie autor czyni uwagę, że należy już raz zaprzestać traktowania t. zw. „golizny studenckiej“ ze stanowiska humorystycznego, uważając ją za jakiś „specyalny“ — nieodłączny pierwiastek młodzieńczego

idealizmu — a raczej zająć się organizacyą pomocy dla młodzieży.

Kwestyonaryusz p. Kowalskiego rozesłany w liczbie 550 egzemplarzy, wywołał 300 odpowiedzi. Oczywiście chcąc na podstawie tej cyfry wysnuwać wnioski o ogóle, trzeba przyjąć, że ten sam stosunek cyfrowy znajduje się i odnośnie do ogólnej liczby studentów.

Otóż okazało się, że 34% studentów miało choroby dziedziczne, 49%*) zapadało stale na jakąs chorobę, 91% przebywało choroby a tylko 9% nie przebyło nigdy żadnej choroby. Nie mniej ciekawą jest rzeczą, jak się przedstawia procentowo rodzaj każdej słabości. Otóż na ból oczu, spowodowany w znacznej części nadmierną pracą cierpiało 20%, w ogóle zły wzrok miało 41%: ból zębów 59%, zęby popsute miało 91%: choroby skórne 40%, bezsenność 9%. ból głowy w połowie będący wynikiem przeciążenia umysłowego 59%, nakoniec zdenerwowaniu uległo 57%.

Odżywianie: olbrzymia większość, bo 72% używało na śniadanie czystej herbaty . herbaty z mlekiem, kawy lub kakao 16%, mleka 10%. Z małą różnicą zachodzi ten sam stosunek przy kolacyi. Oczywiście tak rano przy śniadaniu, jak wieczorem przy t. zw. „kolacyi" musi się używać pieczywa. Otóż przeciętnie na jednego studenta według obliczenia p. Kowalskiego przypada: rano 0·35 funta, wieczorem 0·38 funta chleba. Lepiej stosunkowo jest z obiadami, choć właściwie trudno zbadać bliżej pożywność jakość itp. tych obiadów. Podzielono je na 4 kategorje: 1) obiady o 2 daniach, 2) o dwóch daniach z deserem, 3) o trzech i 4) o trzech z deserem. Pierwszej kategorji używało 18%, drugiej 4%, trzeciej 56%, czwartej 20%.

Jakkolwiek zdawaćby się mogło na pozór, że takie odżywianie nie graniczy ze systematycznem ogładzaniem się, to jednak jeżeli się weźmie pod uwagę młode organizmy, potrzebujące częstszego i pożywniejszego pokarmu, a do tego pracę w wysokim stopniu absorbującą, bo umysłową, to musimy przyznać, że takie pożywienie absolutnie nie wystarcza.

Przypatrzmy się bowiem wiele godzin dziennie u studenta zajmuje praca. Według obliczeń p. Kowalskiego, przeciętnie 8 godzin. Nie można jednak zapomnieć — jak słusznie zwraca uwagę p. Potocki — że wobec systemu naukowego w Królestwie, większość młodzieży, po za naukami specyalnemi i wykładami na uniwersytecie, uzupełniać musi urzędową wiedzę — samodzielną pracą. I tak historyę polską studyuje 11%, filozofię i nauki społeczne 10%, psychologię 2%, języki nowożytne 9% itd. Jeżeli do tego dodamy 2, 3, 4 godziny korepetycyi lub innego zajęcia i denerwujący system egzaminów — to otrzymamy ilość pracy nie tylko przekraczającą cyfrę 8 godzin, ale nadto ogromnie wyczerpującą.

Jedyną dodatnią stroną w całym roku dla studenta jest pobyt podczas miesięcy letnich poza murami Warszawy. Ale i tu znowu trzeba uwzględnić, że bardzo wielu przebywa na wsi dzięki temu, że zajmuje sie korepetycyą. Tak więc i tu nie można mówić o bezwzględnym wypoczynku — bo praca i to nieraz uciążliwa trwa dalej. Na 300 studentów, 214 spędziło wakacye na wsi, 66 w innych miastach, a tylko 9 w Warszawie (za granicą 11).

Ciekawym z wielu względów jest rozdział, gdzie autor mówi o dochodach młodzieży uniwersyteckiej. Dochody te dzieli on na trzy kategorye: pomoc z domu, zarobek osobisty i stypendyum. Sądzić by należało, że poza temi źródłami dochodu, młodzież innego źródła dochodu nie ma. Niestety jest jeszcze jedno najczęstsze i najpospolitsze, a tem są d ł u g i.

Na kwestyonaryusz w sprawie uposażenia i obdłużenia młodzieży, który rozesłano w 500 egzemplarzach, nadesłano 253 odpowiedzi. Na podstawie ich ułożona tabelka statystyczna, wykazuje cyfrowo jaką rolę kredyt, a właściwie długi odgrywają w budżecie studenta. Nie mogąc przytaczać cyfr w całości, ograniczamy się na ogólnych a więcej ważnych liczbach. Na 253 studentów zaledwie 73 nie miało długów wcale, u 115 długi nie przewyższały dochodów (nb. u znacznej czę-

*) ułamki pomijamy.

ści nadwyżka dochodów wynosiła zaledwie kilka rubli); reszta zaś tj. 75 miała długi przewyższające dochody w stosnnku jak 5:1, 10:1, 50:1 a nawet 100:1. Wogóle długi 253 studentów z rozmaitych knrsów wynosiły przeszło 10.000 rs.

Łatwiej zrozumiemy przyczynę takiego stanu rzeczy, gdy się przypatrzymy następującej tabelce:

Wydział	% mających byt zupełnie zabezpieczony na kursach				% nie mających żadnego zasiłku na kursach			
	I	II	III	IV i V	I	II	III	IV i V
prawo	44	45	25	22	26	45	31	33
medycyna	32	20	33	11, 36	17	18	22	26
przyroda	22	33	29	50	11	17	43	—
matemat.	41	80	67	100	16	—	—	—

Widzimy jak znaczny procent młodzieży, zmuszony jest obywać się bez żadnej pomocy czy to z domu czy też jakiego stypendyum. Jeżeli jeszcze ta młodzież poświęca się studyom takim (matematyka, medycyna), które wymagają znacznych funduszów — oczywiście, że nie mogąc pokryć wszystkich wydatków z własnej kieszeni, ratuje się zaciąganiem długów.

Podzieliwszy następnie cyfrę 253 studentów na 3 kategorye pod względem źródeł dochodu, t. j. na takich: 1) którzy mają byt zapewniony i nie pracują na utrzymanie; 2) mających nie dostateczny zasiłek z domu i pomagających sobie własną pracą, wreszcie 3) utrzymujących się całkowicie tylko z własnej pracy — autor dochodzi do wniosku, że w miarę tego jak maleją dochody z domu i wzrasta zarobek osobisty, wzrastają także i długi. Przeciętnie bowiem na studenta z kategoryi pierwszej przypada: około 36 rs. pomocy z domu, 15—16 rs. stypendyum, a przeszło 22 rs. długów. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że wydatki n. p. na wpis, ubranie i inne większe potrzeby, z domu osobno pokrywają niezależnie od miesięcznej pomocy. Na jednego z kategoryi drugiej przypada zasiłku 19—20 rs. zarobku 21—22 rs., stypendyum 19 a długów 41—42 rs. Wreszcie na 1 z kategoryi trzeciej przypada około 27 rs. zarobku, 69 rs. stypendyum i 64 rs. długów. Ogólnie uposażenie materyalne przedstawia się tak: 30% (z 253) zawdzięcza byt rodzinie, 50% pobiera od niej nie wystarczający zasiłek o 20% musi o własnych iść siłach.

Na tem zamyka p. Potocki ten zajmujący obraz „golizny studenckiej“ w uniwersytecie warszawskim i przystępuje do omówienia środków, mających na celu polepszenie tych opłakanych stosunków.

Poświęciliśmy więcej miejsca w naszem piśmie pracy p. Potockiego, gdyż nie mniej od niego odczuwamy fatalne skutki dla społeczeństwa, wynikające z tego rodzaju stosunków materyalnych wśród młodzieży. Musimy jednak dodać parę uwag, które się nam nasuwają. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że takie warunki życia, jakie przedstawił autor wśród młodzieży warszawskiej, nie należą do najlepszych — jednak na ogół nie można je uznać za najgorsze. Powtarzamy raz jeszcze, że w gorszych pod tym względem warunkach żyje nieraz młodzież uniwersytecka w Galicyi, a jeszcze więcej za granicą, gdzie wśród obcego otoczenia i zupełnie odmiennych stosunków, położenie staje się rozpaczliwem. Co się tyczy zaś młodzieży galicyjskiej, to jakkolwiek dalecy jesteśmy od tego pojmowania rze-

czy, by warunkom materyalno-ekonomicznym odmawiać bardzo ważnego wpływu na całokształt życia jednostki — przyznać musimy, że atmosfera duchowa, wśród której żyje młodzież w Królestwie bez porównania korzystniej i dodatniej wpływa na nią, niż ta sama atmosfera w Galicyi. I pod tym względem przedewszystkiem ubolewania godnem i zastraszającem jest położenie młodzieży galicyjskiej, a z nią przyszłość społeczeństwa w tym kraju.

Junior.

Ibsen w rozwoju dramatu.

(Ciąg dalszy.)

To subtelne, niewątpliwie jednostronne rozróżnienie dramatyczności minionych pokoleń, od tej, która już w naszych oczach się tworzy i rozwija, oparte jest właściwie na jednym postulacie: oto pragnęliśmy zawsze dramatu naszego codziennego życia. Do tych koturnów rycerskich herbów nie mogliśmy się dostroić. Zachwycaliśmy się niemi nieraz, podziwialiśmy wybuchy namiętności, oratorską swadę języka od bohatera do ostatniego ciury; ale czuliśmy pewien brak, jakąś lukę niezapełnioną w intellektualnych potrzebach naszych, jakiś protest, i niezadowolenie. Oto dusze targały nam bole nasze i nasze utrapienia, mieliśmy swoje troski i swe udręczenia, swoje słabości i swoje wady; widzieliśmy nieraz twarz bolesną życia, które się toczy dokoła nas, jej skurcze i spazmy; odczuwaliśmy okrucieństwo losów i nieubłagane fatum przeznaczeń; nienawidziliśmy, kochaliśmy, oburzaliśmy się i zaciskali pięście, walczyli o jakieś prawa własnego kodeksu, budowaliśmy nowe gmachy światopoglądów, widzieliśmy stokrotną różnorodność dusz ludzkich, ich ciche, rozpaczliwe walki, ich starcia tajemne , przeboje, tryumfy i klęski, ich nadzieje i rezygnacye; zaczynaliśmy głębiej poznawać i rozumieć natury ludzkie w mnogości ich typów i pokochaliśmy to życie z jego bezlitosną, nieuniknioną logiką, z jego mocą mikrokosmu, z przedziwnem uproszczeniem obecną zawsze i wszędzie. Doszliśmy przytem do tej nieocenionej dla przyszłości prawdy: wystarczy, aby się zeszło w życiu dwoje ludzi, a są już wszelkie warunki po temu, aby powstał dramat i przypomniawszy sobie. że scena jest mikrokosmem w którem się gromadzą w cudownej prostocie wielkie potęgi losów ludzkich zaczęliśmy czcić i szanować tych, którzy z duszą mocarzy umieli się wpatrywać w potworną twarz bytu, ujarzmiać go i wskazywać nam w streszczeniu jego odzwierciedlenie a gardzić i nienawidzieć tych, którym szło o igraszkę, gdy nam szło o życie.

Wtedy z zapałem wertowaliśmy owe żółte książeczki Reclama, po niemiecku poznając dramaty Ibsena, gdy równocześnie dochodziły nas z zachodu wieści o walkach, które tam staczano w jego imieniu, o zwycięstwach, jakie ten piking północy odnosił, wyruszywszy na podbój Europy, o konsternacyi panującej wśród uczciwych obywateli i oburzeniu oficyalnej krytyki.

Był czas, że utworów Ibsena nadużywano jako hasła; że z zasad, dowolnie z nich czerpanych, robiono karykaturę żurnalistycznych artykułów, że się siekało myśli jego na potrawkę dla mieszczańskich mózgów, że z jego wszechświatowego buntu wyławiało się tendencyjny wiaterek dla młynów, mielących partyjne, społeczne czy artystyczne programy. Po części grzeszyliśmy wszyscy. Zrazu nie spostrzegliśmy jego głębi, szliśmy na lep kilku, bez związku wyrwanych cytatów; pozorom daliśmy się wziąć na kawał, kruszyliśmy kopie w obronie przeróżnych „kwestyi“, których szermierzem miał być rzekomo Ibsen; toczyliśmy zacięte spory o coś, co nie istniało, co nie było istotnem co nie grało żadnej roli.

Pamiętamy dobrze i nie wahamy się przyznać, jak to zrazu wielka część naszej pierwotnej egzaltacy i podziwu dla największego dramaturga czasów nowożytnych, miała źródło w owej młodzieńczej opozycyi quand meme. Co prawowierność nazywała czarnem, proklamowaliśmy białem. Gdy, niedawne jeszcze

to czasy świeżo tkwią nam w pamięci) powtarzano aż do znudzenia komunały o klinicznej atmosferze ibsenowskich dramatów, o brudach i występkach, w których się „nurza“, o jaskrawej przesadzie „potwornego“ naturalizmu, o fizyologicznej działalności, którą uważa za sprężynę losów naszych. Odpowiadaliśmy wtedy burzliwie: kliniczna atmosfera? brudy? występki? toż to atmosfera waszego życia, waszych zniepprawionych stosunków: naturalizm? najwspanialszy „kierunek“ sztuki (jakby sztuka mogła mieć jakie „kierunki“); dziedziczność? wiedza przyrodnicza przeniesiona na grunt poezyi.

Hałas się wzmagał ilekroć w dyskusyę wmięszali się politycy. Rozwiązywały się języki, tworzył się istny Babel wprost sobie sprzecznych sądów i mniemań, jak to się dzieje zawsze wobec każdego, nowego, a doniosłego zjawiska w życiu, nauce i sztuce. Wśród wrzawy wojennej o tezy, zasady i kwestye zapominano o zasadniczym problemie: że ma się do czynienia z utworami poety, będącego na wskróś dramaturgiem. Zwolna dopiero poglądy się pogłębiały, klarowały, krystalizowały. W świetle późniejszych dramatów Ibsena przesuwały się punkty ciężkości wcześniejszych.

Równocześnie talent jego rósł i mężniał, stawiając sobie coraz trudniejsze zadania i cele. Z coraz innej strony śledził te zagadki, zmieniał środki artystyczne, przewracał technikę dramatu do góry nogami, stwarzał nowe pojęcie jego i nowy rodzaj. Im głębiej zaś schodził w noc życia duchowego, w im głębsze szychty i sztolnie tej niewyczerpanej kopalni się puszczał, tem więcej upraszczał się i streszczał, a coraz częściej posługując się symboliką, zamykał w niej ową dziwnie suggestywną siłę, która późniejszym jego dramatom przydawała owe dalekie perspektywy i te tajemne powaby. Wtedy ze wszystkich zarzutów, jakie tym przez przeciąg lat czyniono, najuparciej utrzymywały się dwa głównie jeszcze: niezrozumiałość i niescenicznośc.

Tymczasem dorastające nowe pokolenie, które uważało Ibsena za swego mistrza, widząc w nim zarazem wybawcę, oczyszczającego gallicką atmosferę teatrów, zaczęło wchodzić w jego intencye, rozumieć całokształt dzieła jego i uczyło się cenić go ze stanowiska czysto artystycznego. Świat intellektualny zniechęcał się coraz bardziej do sztuki przedyskutującej zagadnienia aktualne dnia, a w miarę jak Ibsen przestawał się zajmować zewnętrznymi pozornie, bieżącymi stosunkami i problemami, a dramaty zmieniał na tragiczne monografie dusz, coraz plastyczniej rysowała się jego postać, coraz bliżej prawdy była ocena jego stanowiska, jako reformatora dramatu, coraz wyraźniej przedstawiało się jego epokowe znaczenie w ewolucyi współczesnej sztuki dramatycznej.

Przedewszystkiem urodził się światu w Ibsenie potężny indywidualista i umysł krytyczny, mężny, a zuchwały. Przedewszystkiem zjawił się ktoś, który stał ponad epoką, nad życiem i ludźmi; nie służył im, ale panował nad nimi, miał gorzką ironię wielkich duchów, ogarniał szerokie horyzonty, miał surową powagę skaldów, szorstką siłę twórcy i niezwykłe poczucie praw moralnych: ktoś, który miał moc rozbijania przesądów i zdzierania masek obłudy, gorycz aristofanesowską, oburzenie i opozycyę. Tylko taki miał wszelkie warunki po temu, aby stworzyć wyższą komedyę, w której szczerość nie bawi się w ciuciubabkę z publicznością. I przez tę przewagę umysłową i moralną, świadomą wielkiego posłannictwa sztuki był on pierwszym od lat wielu, który orzekł: że scena i aktorzy są dla sztuki, a nie sztuka dla sceny i aktorów. W ramach dramatów skupiając olbrzymią mnogość i różnorodność życia współczesnego, to, co w niem było najwyrazistszem, jak i to co było płodnem w przyszłość, formy teraźniejszości rozsadzającem, a w czem streszczały się rewoltujące fermenty niespokojnych, niezadowolonych, buntowniczych duchów w przeróżnych swych zróżniczkowanych odmianach, zrywał z tradycyjną galeryą typów scenicznych i miast utartych, stałych szablonów stawiał na scenę typy indywidualności, jako nieoceniony dar dla talen-

tów aktorskich, marniejących w patosie historycznych tragedyi, zgnuśniałych w szczebiocie salonowej konwersacyi, wypowiadaniu i bronieniu poglądów. Ibsen też pierwszy od szeregu lat z ideologów nie robił rezonerów, a zachowując ścisłą i przyczynową łączność charakterów tak z całą ich tragiczną dolą, jak z każdym ich giestem i słowem, te rezonerskie, osławione manekiny zmieniał w pełne krwi i wierne wizerunki z życia. A potem ta niesłychana bezosobistość dramaturga, wobec której staje się nieraz zupełnie bezradnie, to, jakby w igraszce posępnej tworzenie ciągle nowych, a różnych, tragicznie nieudałych prób ideału człowieka i stawianie go w coraz odmiennej sytuacyi życiowej, a zawsze takiej, aby natura jego, prawda jego i fałsz jego najwypuklej się uwidoczniła, a wraz z temi losy jego wiązały się w przedziwną konsekwencyę. Ta bezstronniczość zaciętego pełnego ironii mefistofelesowej krytycyzmu, ta gra przeciwieństw, ta wielostronność refleksyi, niedowierzającej raz rozwiązanym problemom; ustawiczne przesuwanie punktów widzenia, sarkazm tajemny twórcy, wymykającego się, jak węgorz, z rąk czytelnika, ten kwas i rozczyn, bezlitośną analizą rozpuszczający wszelkie możliwe typy refleksyjne, faustowskich bohaterów myśli, męczenników illuzyi, doktrynerów prawdy, radykałów etyki, szperaczy sumień, ideologów, filantropów, utopistów.

I z tem łączy się nowa cecha dramatów ibsenowskich. Jest to bohaterski dramat codziennego życia. Jest to Lessingowski Bürgerdrama podniesiony na wyżyny ogólno-ludzkiego ideału, zaciekawiające połączenie szarej realności z duchem rwącym się na szczyty chimery: prometejski pierwiastek pod surdutem i żakietem. To zestrojenie najszczytniejszego idealizmu z formą naturalistyczną, przepojenie nim tematów na pozór bezpośrednio z zewnętrznego codziennego, powszedniego zycia branych stanowi kolosalną wagę tych dramatów. To nie są rzeczy, które nas i twórcy nie obchodzą, tu chodzi o jego religię, jego filozofię, jego etykę; tu toczy się fatalny bój jego ideałów życiowych, to szereg kolejnych stanów jego duszy, która z bezlitośnie objektywnem samowydrwiwaniem się odbywa roki nad sobą wobec surowego, a odwiecznego Trybunału utopii, prawdy absolutnej i trwałego szczęścia. To powrót do owej religijności treści dramatycznej, o której młodemu pokoleniu teoretyków i twórców dramatu niejasno się marzy. On ma być czemś, co się łączy ze wspólnemi pragnieniami dusz, wyrazem wspólnej metafizyki społeczeństwa, owego duchowego komunizmu. On ma być mitologią publiczności, bohaterską mitologią czasów obecnych i przyszłych, jak dramat grecki był dla Greków mitologią czasów obecnych i przeszłych.

A początki takiego dramatu niewątpliwie tkwią już u Ibsena. Wyżej określona bohaterskość jego dramatów, których postaci tworzy on przeważnie na fidyaszową miarę w cnotach ich i słabościach, jako typy, jako symbole współczesnego człowieczeństwa ma źródło w niezaprzeczonym romantyzmie wikingowskiej jego natury. Za młodu kąpał się w mgłach i blaskach fantastycznych mitów, sag, podań. Owiewał go urok osjanowych marzeń; wnikał w dziki czar pierwotnych, surowych natur. W tej dziedzinie zmierzchów i brzasków wzrok jogo przywykł do natchnionych twarzy legendowych herosów i heroin, do płonących dusz królów-duchów. Zszedłszy w chłodne dzierżawy jasnowidzenia rzeczywistości i przenikania otaczającego świata zawrzał gniewem i zaciekłością. To tłómaczy ów sławny — Brandes go tak nazwał — ibsenowski pessymizm z oburzenia.

W całej małostkowej błahości ogołacał on pokątne cnoty filistrów; szydził, drwił i chłostał. Fanatyczny zapał sędziego śledczego ogarniał go, kazał mu dociekać do troskliwie tajonych zagłębi duszy.

„Ale kiedy pozornie jeszcze, mówi Niemiec Servaos, pracował z lupą w ręku i z nożem sekcyjnym, burzyła się w nim krew romantyka i dusze zgasłych bohaterów i zapomnianych kobiet ze skandynawskich sag wkradały się w ciała nowożytnych ludzi, patrząc z nich mętnym,

zagadkowym wzrokiem. Mgliste lub zimne i ostre spojrzenie ócz boecklińskich nimf i niks mają jego kobiety. W takiej Heddzie Gabler, w takiej Rebece West z Rosmersholmu, w takiej Hidzie z Solnessa pokutuje duch Wallkiryi; w Stockmanie (z „Wroga ludu"), w Solnesie, w Borkmanie wspina się mityczna dusza bohaterów; z zewnętrznej powłoki szat przebłyskują demoniczne upiory w człowieku. Taki Rosner i Brand z ogromem moralnej, Tołstojowej wielkości, to kolosy heroiczne podań.

Są to wszystko dusze pełne jeszcze dziewiczych potęg, surowe i zbójnickie, przelewające się musującym płynem życia, co rozpiera groble i tamy karłów, na pół jeno oswojone dzikie orły, potomkowie Normandów. co się na lotnych statkach puszczali na dalekie morza, o stromy brzeg zarzucali kotwice, grabiąc i plądrując.

Zatem współczesny realizm i romantyczna, bajeczna wielkość pragnień, to dwie wewnętrzne cechy ibsenowskich dramatów

Teraz sama istota tragizmu. Więc owo usposobienie ducha, dla wielkiego dramaturga konieczne, które Nitsche łączy z narodzinami tragedyi. Owo potakiwanie życia, które molochowi jego składa ofiary z swych najwyższych typów, z dyonizajską ochotą rozkoszując się niewyczerpaniem swej twórczości; ten pęd niszczycieli, żywiołowo rzucający dusze ludzkie na pastwę losu, z ironiczną litością nad nieszczęściem, odczuwając radość w dreszczu zgrozy i przerażenia. Tak tworzy Wielki Duch Przyrody. Jak w przejściowych geologicznych formacyach paleontolog odnajduje niezmierną moc odmian, zmiennych i różniczkowanych ustrojów o cechach typów zaginionych i nowo ustalających się na przyszłość, będących pomostem przejściowych do późniejszych, doskonalszych tworów, które dopiero i zwolna się rodzą i powstają, tak w dramatach Ibsena odnajdziemy całą galeryę postaci, które są jakby próbami, zwiastunami, forpocztą tych przyszłych, wymarzonych, a daj Boże szczęśliwszych jednostek, ale w duszy mają one tyle jeszcze namułu czasów przeszłych, tyle atawistycznych, może wiekuiście ludzkich przyzwyczajeń i nałogów, tyle ich ściga upiorów przeszłości i widm przyszłości, że pod nawałą własnych błędów, ze zemsty Nemesis społecznej, w walce z otoczeniem w rozterce duszy, nie umiejącej się przystosować do nowych podstaw etyki padają i giną.

W tem tkwi węzeł dramatyczny utworów Ibsena. Nieuchronny los byłych pokładów geologicznych, z góry skazanych na zatracenie. Możnaby rzec, że całość dzieła jego to wielka tragedya jego światopoglądu etycznego, to łamanie się kolejne szczebli drabiny, po której pnie się w górę, jako po skali oceny wartości życiowych, to smutna saga jego własnego życia i nas wszystkich, którzyśmy brali chrzest snów generyjskich. Dokładne kolejne zapoznanie się z dramatami jego daje pełne tego zrozumienie. Ma się rzecz z nimi tak jak z muzyką Wagnera. Na pozór wydają się bezładnym szeregiem pomysłów, dyalektycznych wywodów, dyalogów nieskończenie długich, ciemnych symbolów i zagadkowych alluzyi. Dopiero wynalezienie właściwych leitmotywów rdzennej idei, zasadniczej myśli, która zawsze z żelazną konsekwencyą nieubłaganej logiki z ogólnych założeń wypływa, nadaje składowym częściom żywotność organizmu i zamienia je w dramaty wspaniałe światopoglądów. Rządzi niemi już nie zewnętrzne fatum greckich bogów, ni wulkaniczna namiętność renesansu ani konflikt kategorycznego imperatywu obowiązków i etyki z uczuciami egoizmu (jak u Schillera), ale jakby obnażona, zasadnicza nieuchronność fatalizmu ludzkiego, jego fundamentalna niezdolność przekroczenia ciasnych granic, wytkniętych duszy ludzkiej, chcącej się nieskrępowanie wyżyć i wyszumieć w obrębie jej własnym i poza nią.

To tragizm analogiczny do ignorabimus wiary człowieczej zakreślonej kantowską teoryą poznania — na wskróś nowożytny, nie dający się już z współczesnej tragedyi wyeliminować, tragizm, w którym nowożytny człowiek. stanowiący nierozdzielną, organiczną jedność uczuć i myśli, nieodpowiedzialny (wobec świata przy-

rody), a przecież odpowiedzialny (wobec siebie i ludzi), z rozszerzona skalą motywów, uduchowionym łańcuchem przyczynowości, o idealnych pragnieniach i wyostrzonem sumieniu, o rwących tamy instynktach orłów skalnych, zamkniętych w klatce, boryka się w bezowocnej walce z przeznaczeniem, jako z ciemną, nie odgadnioną mocą, działającą z koniecznością praw mechaniki. Taką bezowocną walkę stacza i Rubek, bohater ostatniej tragedyi Ibsena. „Gdy my się martwi ockniemy" — aby już o niej przy sposobności mimochodem wspomnieć. Jest to rzeźbiarz obarczony klątwą swego artystycznego geniusza. Cenił w życiu tylko sny swoje o ideałach szczytnych, które gorączkowo wcielać pragnął, w marmurowe kształty, aby wzbudzać podziw, zdobywać światową sławę i laury. Nie umiał żyć na szczytach pełnią młodości i życiem pulsującem w ognistej krwi oddechać całą mocą szerokich piersi, a z kolei lat swych dojrzałych tworzyć wspaniałe dzieło, olbrzymie szlachetnością człowieczeństwa, ale śnił rzeźbę martwą, którą uważał za święty i jedyny cel natchnionych rojeń. Miał to być ucieleśniony „dzień zmartwychwstania" w kształcie młodej kobiety budzącej się z nieświadomego, bezsennego odrętwienia, mocą cudotwórczej iskry natchnienia.

(Dok. nast.)

Dwa spotkania.

OPOWIADANIE.

Zbliżało się południe. Leżałam w trawie, pod cieniem wysokiej sosny, na samym skraju lasu. Las młody i rzadki tu jeszcze nie zasłaniał widnokręgu. Z trzech stron, jak okiem sięgnąć, rozciągały się niezmierzone błonia. Bieliła się tatarka, różowiła koniczyna, zieleniały kartofle, a tam dalej wprost przedemną rozpoczynały się ścianą wysoką, przetykane gęsto haftem niebieskim bławatków, bujne łany dojrzałej pszenicy i biegły aż po za las, z za którego też dolatywał brzęk kos i śmiechy wesołe żniwiarzy. Bo żniwa się właśnie zaczęły.

Podłożywszy ręce pod głowę, patrzyłam w niebo jasne, błękitne, po którem leniwie pełzały białe maleńkie obłoczki — i myślałam, Bóg wie o czem.

Książka, którą wzięłam z domu wychodząc, leżała obok rzucona niedbale. Nie miałam najmniejszej ochoty do czytania. Wypoczywałam. Dziwnie dobrze mi było w takim bezruchu i w tej samotności, gdyż czułam się bardzo zmęczoną. Będąc nauczycielką języka polskiego w jednym z gimnazyów warszawskich, przeszłam właśnie niedawno całą denerwującą szopkę egzaminów z tego „nadobowiązkowego przedmiotu — egzaminów, złożonych z nieustannych bezcelowych tłómaczeń z rosyjskiego na polski i z polskiego na rosyjski, w nieustannej asystencji zwierzchnika-inspektora, w jego długim urzędniczym mundurze, z jego policyjno-węszącą miną, strzygącego uszami przy każdem zdaniu polskiem, wyrzeczonem przypadkiem przezemnie lub uczenicę, podbiegającego ku mnie, by zajrzeć mi przez ramię i przeczytać, czy naprawdę na kartce wypisany jest np. temat: „Żywot i pisma Jana Długosza", by po takiem naocznem sprawdzeniu rzucić potem jeszcze niespokojne pytanie: „A nie paliticzeskij-li eto był diejatiel?"*)

Praca w takich warunkach stawała się udręczeniem. Ciągłe kłujące starcia ze szpiegującymi mnie na każdym kroku kolegami i koleżankami, nieuniknione kompromisy, drobne podejścia, do jakich uciekać się wciąż musiałam, by udzielić dzieciom najprostszych zasad języka, najelementarniejszych wiadomości z literatury — wszystko to wyczerpywało moje siły, rozkręcało nerwy, a co najważniejsza, wątliło ducha, każąc przez pryzmat mojej własnej szarej doli patrzeć na świat szeroki, na walki i dążenia ogólne.

I oto teraz — w to piękne lipcowe południe, odpoczywałam, leżąc w trawie nie myśląc absolutnie o niczem.

Na moje zmęczone, potargane nerwy, dziwnie kojąco wpływała ta jakaś cisza i słodycz, rozlana w szerokim przestworze pól i lasów, nie stło-

---

*) A czy to nie był działacz polityczny?

czonym murem żadnym, nie zakopconym dymem z kominów miejskich, oblanym jeno potokami słońca, spływającemi z przeczystych błękitów.

I coś dziwnego zaczęło się dziać ze mną. Nieznana przedtem, nie wytłómaczona niczem otucha i moc spływała mi w duszę z bezmiernych otaczających przestrzeni.

— Moje — szeptał mi radosny jakiś głos wewnętrzny, gdym ogarniała wzrokiem długie zagony, w wężowych skrętach biegnące w dal ku siniejącym tam lasom, — moje — powtarzałam w duchu bezwiednie, patrząc na słomiane strzechy chałup, szarzejących na krańcu widnokręgu, na widniejące gdzieniegdzie gromadki chłopów, odzianych w białe świty i słomiane kapelusze, pochylonych nad ziemią i tak z nią zbratanych, jakby z niej byli sami wyrośli — moje — szumiało mi w dźwiękach nawet rozmów, dopływających z wiatrem z za lasu, — dźwiękach takich samorodnych, tak wolnych od obcej domieszki, a tak zrośniętych z duszą moją — takich kochanych...

I z wielkiem skupioniem słuchałam taiemnego szeptu, jakim ziemia — ta moja — przemawiać się do mnie zdawała:

— Nie może nigdy zginąć to, co jest — co istnieje w wieczności. A ja jestem, my jesteśmy — szeptały trawy, zboża, szumiały drzewa, stwierdzały nawet milczącą wymową bez słów konopiaste te głowy chłopskie o typowych twardo zarysowanych konturach. — Jesteśmy takimi, jakimi urobiły nas wieki i natura, i żaden gwałt odmienić tego nie zdoła, żadna siła ludzka nie zdoła oderwać tego ludu od ziemi, z której on wyrósł, z którą zespolony stanowi razem jednę świętą nierozerwalną całość.

— Tak — tak — powtarzałam radośnie, czując, jak ta prosta prawda, — nie wyrozumowana bynajmniej, lecz objawiona jakby, jakby wprost z sokami żywotnemi ziemi sącząca mi się w duszę — wypełniała zwolna ją całą, jak szczęściem.

Zrobiło mi się bardzo wesoło i lekko. Oddychałam swobodnie, szeroko, — całą piersią wchłaniając w siebie żywiczną woń sosen i świerków — goniąc wzrokiem skowronka, co ciemnym punktem w górze zawieszony dzwonił piosenkę jakąś jasną, coraz ciszej i słabiej, — aż w końcu i on i piosnka jego znikły — stopniały jakby w sinawo-niebieskawym przestworze.

Za lasem tymczasem ucichły kosy, wzmógł się natomiast gwar głośny, — widać żniwiarze rzuciwszy na chwilę robotę zabierali się do południowego posiłku.

Naraz — rozległa się tuż niedaleko mnie pusta wesoła piosenka dziewczęca, śpiewana młodym jakimś, śmiechem nabrzmiałym głosem.

Obiecał mi Feluś,
Czerwony kapeluś,
Zielunom wstonżeczkę,
Zebym była jego —
Oj — dana!

Piosnka urwała się, — po chwilce usłyszałam wołający głos męski: „Pocekoj — dam ci ja — ino złapie“ — i śpiew ozwał się znowu, już bliżej, przerywany wybuchami śmiechu i szybkiemi stąpaniami dwóch par nóg ludzkich, goniących się wzajem.

Nie chce ja Felusia,
Nie chce kapelusia,
Nie chce ja wstonzecki,
Nie chce ja być jego.
Oj — dana!

Z za drzew wypadła dziewczyna, a za nią mignął w krzakach tuż — tuż doganiający ją chłopak — gdy wtem ujrzawszy mnie, zmięszał się widać, zmiął czapkę w ręku i zawróciwszy się na pięcie poszedł.

Dziewczyna stała, oddychając szybko po gonitwie i z nieskrywanem zdziwieniem przyglądając mi się swojemi niebieskiemi szeroko otwartemi oczyma.

Czerwona chustka zsunęła jej się w biegu na plecy. Duży płowy warkocz zwinięty był w tyle głowy, nie osłonionej teraz niczem i wystawionej wprost na działanie słońca.

Miała regularne rysy i pewien naturalny wdzięk w postaci, wydała mi się

bardzo miłą i poczułam ochotę do zawarcia z nią bliższej znajomości.

— Może zjesz trochę poziomek — zagadnęłam, wyciągając ku niej dzbanuszek z jagodami, jaki wzięłam do lasu na śniadanie.

— Mnie ta nie trza... jagodów — odparła, uśmiechając się i nie ruszając z miejsca.

— Ale zjedz, proszę cię — nalegałam. Usiądź sobie koło mnie na chwileczkę i jedz jagody. Gorąco jest bardzo, to się ochłodzisz.

— A i gorąc dziś naprawdę — przyświadczyła, ocierając rękawem z lekka spocone czoło — jaz praży.

Przystąpiła do mnie zwolna, jakby wahając się, i wziąwszy jedną jagódkę, przykucnęła opodal na ziemi.

Wzięłam dzbanuszek i śmiejąc się usypałam jej jagód na spódnicę

Śmiała się także i jadła ośmielona już zupełnie.

— To panuńcia pewnie ze dworu — ta pani co to miała z Warsiawy przyjechać?

— Tak, a ty skąd wiesz o tem, że ja miałam przyjechać?

— A to po panuńcię pewnie Franuś wczoraj jeździł na stację.

— Jaki Franuś? pytałam nie rozumiejąc.

Objaśniła mnie, że Franuś — stangret ze dworu — jest jej narzeczonym i on jej właśnie mówił, że po mnie pojedzie.

— Aha — to może ten chłopak, z którym się dopiero goniłaś — pytałam rozbawiona.

— Ij, gdzieżby zaś — zaprzeczyła — to ino tak sobie — ze zbytków... Rozgadawszy się, opowiadała mi o Franusiu, o tem, że niedługo będą się „żenić“ — na jesieni — bo teraz ona w polu zajęta, a i on z panem ciągle gdzieś jeździ. — Pan lubi go bardzo — mówiła, — zawdy bierze ze sobą i poseła, gdzie ino potrza.

Teraz przypomniałem sobie „Franusia“. Duży, barczysty chłop z miną mruka na ciemno zarosłej, słońcem spalonej twarzy. Przypomniałam sobie, bo właśnie wczoraj po jakiejś ożywionej rozmowie o propagandzie chłopskiej wskazywano mi na niego, jako na wzór zupełnie „uświadomionego“ chłopa — agitatora.

Z ciekawością przypatrywałam się jego narzeczonej.

— A dawno wy się z Franusiem znacie — pytałam, żeby przeciągnąć rozmowę.

— Ta znamy się od maleńkości. Przecie my z jednej wsi jesteśmy. Ino że tak całkiem dobrze poznaliśmy się niedawno — i to bez jednego żołmirza.

— Jakto — przez żołnierza?

— A to było tak. Na wiosnę tego roku za wsiom naszom stali żołmirze — na mustrze. No i jeden żołmirz bardzo się do mnie zalicał. Ja ta se pożartować czasem lubie — czemu nie? Tak my se stoimy raz w lesie, śmiejemy się — aż tu nadchodzi Franek. Jak nas obaczył, jaz mu się twarz odmieniła. Przyskoczył do nas i mówi do żołmirza: Ustąp się — powiada — bo to je moja siostra. A zełgał wtedy, bo żadna ja jego siostra nie jestem. Ale żołmirz poszedł. A Franek do mnie ze złością: „Czego ty się — powiada — z żołmirzami włóczysz? Wstydu nie masz w sobie“. A i mnie złość wziena. „A tobie co do tego — mówię — z kim ja się włócze. Skąd ty się wziął taki, żebyś nademną przewodził?“ Tak Franuś wnet zdobrzał i zaczyna mówić cicho tak a prosić: Wstyd tobie — powiada — córce gospodarskiej z żołmirzami się poniewierać. Przecie to moskal je zatracony. Moja ty — powiada — nie chodź ty już z niemi — nie będziesz? — pyta, a sam taki smutny. Tak mnie coś tkneno. — Nie bede — mówie i ja cicho. — No popamiętaj se — mówi Franek i poweselał. Od tego czasu my sie i znać i lubić zaczeli.

— No, to Franek musiał cię już dawniej kochać, kiedy cię tak przed tym żołnierzem bronił — zauważyłam.

— A nie, odparła — Franuś mówi, żeby ino jakom dziewczyne z moskalem obaczył, także by go odpędził...

Straśnie on moskalów nie lubi — dodała po chwili.

— A czy ty, także nie lubisz moskali — pytałam zaciekawiona.

Dziewczyna głowę strząsnęła.

— A ja, ot tak. Za co ja mam jeich nie lubić? — mówiła z rozmysłem. — Taże ludzie, jak i my. I nie żydy żadne, — do kościołów chodzą i modlom się, ino że nie po naszemu, — ale i w Pana Jezusa wierzom — i w Matkę Boską. Ja to wiem, bom się tego żołmirza pytała Franuś gniewa się, jak mu to mówie — powiada, że moskal to je nasz wróg. Ja się ta na tem nie rozumię. Ja tam cały świat lubię — ludzie dobre som — i żyć wesoło z niemi — zakończyła niespodzianie, patrząc na mnie wesoło swojemi szczeremi niebieskiemi oczyma.

— Maryś! Ma-ry-sia! Ta dzieżeś ty się zapodziała — zawołał ostry głos kobiecy z-za lasu.

— Jezus kochany! — porwała się dziewczyna — a tom się zatarmosiła. To matka wołajom — do roboty. Bóg zapłać panuńci za jagody. — I złożywszy szybki pocałunek na mojej ręce, zanim ją zdążyłam cofnąć, pobiegła za las.

Po chwili usłyszałam znów jej śpiew wesoły...

...W parę dni potem wyjechałam z tej wsi, gdzie zatrzymywałam się tylko w przejeździe — i udałam się do celu mej podróży, — na kondycję letnią, jaką obejmowałam w pobliskiem sąsiedztwie.

(Dok. nast.)

Mogilnikom.

Znasz przepotężny Juliusza śpiew
I brylantową Jego słów kaskadę?
Nieraz ci piersi targa słaby gniew,
Skoro usłyszysz swe oddźwięki blade...

Widzisz Zygmunta myśli orli lot
I jego sennych wieszczeń przepowiednie?
W mózg ci zwątpienie uderzy, jak młot
Gdy w porównaniu myśl twoja pobledniе...

Słyszysz Adama pieśni ciągły wiew,
Jak z głuchej Litwy ku Tatrom przelata?
Zwątpiały, sądzisz, że twój cichy śpiew
Pełkną wichrowe melodye świata...

Zwątpiłeś w pieśń i w pieśni głębszy ton,
Boisz się ozwać przy śpiewie słowików,
Olśnił cię trójcy kryształowy tron —
I grasz cmentarne dumki mogilników.

A jednak musisz... musisz naprzód iść —
Gdzie los przeznaczył — tam — na posterunek!
I nie oglądniesz się na lauru liść,
Ni na nęcący marnych pochwał trunek.

Prochy cmentarne nie łakną twych pień —
Więc ty ze sennej obudź się zadumy!
Patrz — tam za tobą z mroków idzie cień
Jak upior — szuka zapału — to tłumy!

Nie możesz wątpić, choć Tytanów trud
Pocznie ci myśli kamieniem przywalać...
Wszak oni tylko opiewali lud —
A ty go musisz poznać i zapalać!

Tobie się trójcy nie lękać — lecz biedz
W ciemnie, co tłumom chcą przebłyski zatrzeć
I na rozstajnych drogach krzyżem ledz,
Jak drogoskazy myślą w przyszłość patrzeć!

Gdy na błękitach śpi znużony Bóg,
Jękliwych wieszczów kołysany graniem
My w dłonie krzepkie ujmiem głośny róg
I z hymnem życia nowego powstaniem!

Kiedy strumienie grają harfą Wił —
My, zasłuchani w melodye prądów,
Pójdziem z ołtarzy ścierać pieśnią pył
I burzyć stare świątynie przesądów!...

Władysław Orkan.

* * *

Od Szanownego autora otrzymaliśmy list następujący:

Poręba Wielka 17/IV. 1900.

Szanowna Redakcyo!

Chciałem koniecznie zaznaczyć sympatyę swoją szczerą dla pisma rewolucyjnego młodzieży, jedynego pisma, które może oddziałać na serca, wcześnie opinane mundurkami i przyzwyczajane zawczasu do państwowej dyscypliny — chciałem przesłać jakąś pracę odpowiednią — nie mam nic na razie niestety — jedyny wiersz, który

przesyłam w załączeniu i proszę o zamieszczenie w majowym numerze.

Szczere słowa uznania za niezmordowaną pracę, wyrazy prawdziwej serdeczności łączę, więcej niż życzliwy

Wł. Orkan.

O wychowaniu kobiet.

(Dokończenie).

Dla uzupełnienia obrazu szkół żeńskich należałoby jeszcze odtworzyć tę specyalną atmosferę jaka tam panuje, a która jest wytworem i wynikiem powyżej wymienionych warunków. Te młode dziewczęta, niedość silne fizycznie, o zupełnie niewyrobionej woli, rozmarzone i wydelikacone, z głową przepełnioną chaotycznemi, oderwanemi wiadomościami z różnych gałęzi wiedzy, których sumieniem jest niewzruszony kodeks praw towarzyskich — potrzebują jednak dać ujście tej sile życiowej, tej energii młodości, która — jakkolwiek skarlowaciała i spaczona — przecież się w nich odzywa. Ujściem tem są najczęściej niezdrowe zabawki umysłu lub uczucia, bujanie marzeniami w błękitach, lub durzenie się w profesorach i nauczycielkach, będące chroniczną chorobą starszych pensyonarek.

A dom rodzinny, czy też różni się on od szkoły? Czy jest takim zimnym, zdrowym prysznicem na słabe nerwy i dziecięcy umysł? Bardzo rzadko. Przeważnie rodzice cieszą się dobrym układem córek, ich umiejętnością znalezienia się w towarzystwie, innym znów wystarcza to, że posiadają one taki zasób wiadomości, który im da „fach“ w rękę. Wyjątki troszczą się o to, czy dziewczę rozwija się także jako człowiek - fizycznie i moralnie. Po większej części atmosfera domu mało się różni od szkolnej; matki i wychowawczynie aż nadto często się ze sobą zgadzają, ciesząc się „zaokrąglaniem się“ figurki dziewczęcia i blaskiem jej oczu.

Po ukończeniu szkoły dziewczę nie zmienia właściwie trybu życia; różni się on od poprzedniego tem, że niema obowiązkowych lekcyi, że suknie się nosi dłuższe i strojniejsze, że miejsce wieczorków zajmują bale, a marzenia po nich są mniej mgliste i nieuchwytne.

Po krótszym iub dłuższym przeciągu czasu, jeżeli się uda szczęśliwie doprowadzić dziewczynę do błogosławionego portu małżeństwa, wychowawcy widząc swe zadanie uwieńczone dobrym skutkiem — oddychają swobodnie, z zadowoleniem, jakiego się doznaje po dobrze spełnionej pracy.

Natomiast dla młodej kobiety zmienia się dużo. Odrazu większa swoboda, zetknięcie się z światem rzeczywistym — wszystko to działa silnie, i — jeżeli tylko dana jednostka poprzednio nie została sprowadzoną do zera -- teraz dopiero zaczyna ona żyć naprawdę. Że warunki wychowania były takie, iż życie to nieraz ją łamie, albo paczy do reszty — to już inna sprawa i nie wchodzi to w zakres naszego artykułu.

A teraz przyjrzyjmy się innej nieco kategoryi kobiet. Przypuśćmy, że -- po otrzymaniu powyżej opisanego wychowania — młoda dziewczyna wybrała się na wyższe studya. Jakie czynniki grają tu rolę? Zazwyczaj na pierwszym planie występuje entuzyazm i szczery zapał. Bądź co bądź mamy jeszcze aż nadto liczny zastęp domowych kawek i gąsek, więc taka młoda dziewczyna czuje pewną dumę na myśl, iż się ponad nie wznieść potrafiła. Upatruje pewien odcień bohaterstwa w drodze, którą obrała i — stosownie do tego — idealizuje i podnosi do bardzo wysokiej potęgi przyszłość, która ją czeka. A przyszłość ta rzadko odpowiada wymaganiom. — Wiadomem jest, że studentki z większym niż studenci zapałem rzucają się do nauki. Ze śmiesznym, a zarazem wzruszającym pietyzmem słuchają wykładów, odwiedzają muzea i biblioteki.

Nie da się zaprzeczyć jednakże, iż bardzo wielu opadają skrzydła po pewnym czasie. Dlaczego? Najrozmaiciej na to odpowiedzieć można, najczęstszą wszakże przyczyną bywa brak odpowiedniego przygotowania. Mniej zdolnym, mniej ener-

gicznym jednostkom braknie wprost sił do walki: umysł, nieprzyzwyczajony do logicznego myślenia, do obejmowania szerszych horyzontów, nie może się wydobyć z ciasnych ramek, w jakie go zamknięto— i zmęczona, zniechęcona dziewczyna daje krzyżyk wszelkim pragnieniom wiedzy.

Fałszywy, zły kierunek wychowania kobiecego — oto zasadnicza przyczyna bardzo wielu kwestyi. Ślepym chyba być trzeba, aby nie dostrzedz olbrzymiej przepaści, jaka dzieli dzisiejsze wychowanie kobiet od ideału, jaki sobie stawiamy. Tymczasem nie słychać głów, któreby żądały gruntownych reform w tym kierunku, nie występuje nikt z jasno określonym planem. Zresztą, gdyby się nawet ktoś taki znalazł, to a priori twierdzić można, iż głos jego pozostałby głosem „wołającego na puszczy“. Długie jeszcze mogą upłynąć lata, nim społeczeństwo zrozumie, że chcąc mieć kobietę-człowieka, należy w niej od początku, zawsze i przedewszystkiem człowieka widzieć, człowieka kształcić i rozwijać.

A zatem, nie oglądając się na żadne reformy „z góry“, musimy liczyć tylko na własne siły. Widzieliśmy, że głównym powodem złych stron wychowania kobiecego jest brak nauki, lub jej fałszywy kierunek. Idzie więc o zdobycie wiedzy, wiedzy żywej, prawdziwej, tak bardzo różnej od tej, którą nam podają podręczniki i profesorowie nasi. Wiedzę tę musimy zdobywać same. Wszak koledzy nasi z gimnazyum umieją sobie poradzić, zakładając kółka samokształcenia. Idźmy za ich przykładem: zbierajmy się, czytajmy, dyskutujmy wyrabiajmy sobie własny sąd o rzeczach, zdobywajmy przekonania. Wszak przekonania są czemś ogromnie drogiem człowiekowi, wszak nieraz słyszymy o ludziach, co życie poświęcić gotowi, by od nich nie odstąpić. A powiedzmy tak, z ręką na sercu, czy dużo jest takich kobiet, którym przyświeca myśl bardzo wielka i jasna, której się wszystko przynosi w ofierze. Mają i kobiety przekonania, a raczej zdaje się im, że je mają, lecz zmieniają je częściej niż rękawiczki, bez żadnej walki wewnętrznej, ot tak sobie, pod wpływem lepszej książki, lub człowieka, który na nich silniejsze zrobił wrażenie. To nie przekonania, to jakieś niejasne, przelotne wrażenia, które się zacierają, nie pozostawiając głębszych śladów, a na ich miejsce przychodzą nowe i tak bez końca. Nie mozolił się umysł nad odkryciem tych prawd, nie zdobyło się ich własną pracą, nie włożyło się w nie chociażby drobnej cząstki własnej istoty.

A zatem raz jeszcze: do pracy nad sobą! Nie idzie o to, by zostać specyalistką w tej lub owej gałęzi wiedzy, lecz o to, aby zdobyć sobie jasny pogląd na świat i życie, podstawę, na której trwałą budowę wznieść można będzie w bliskiej przyszłości. Może w przyszłym artykule, jeżeli ten znajdzie sympatyczny oddźwięk, jeżeli wzbudzi pewne postanowienia, — pomówimy obszerniej o konkretnym planie, jaki sobie zakreślić mamy.

Krakowianka.

Korespondencye.

Z Warszawy.

12. kwietnia 1900.

„Ugoda rosyjsko-polska“ dawno już w łeb wzięła, a zwrot stanowczy w opinii publicznej naszego miasta datuje się od wydania memoryału ks. Imeretyńskiego przez Polską Partyę socyalistyczną[1]). Mimo to jednak pracuje usilnie „dobrotliwe książątko“ cicho, lecz wytrwale nad jej odnowieniem, lub przynajmniej nad wprowadzeniem zamięszania w pojęciach i osłabieniem opozycyi. Pomaga mu w tem gorliwie nasza arystokracya, rozgłaszając na prawo i lewo o „przychylności“ i „szczerem współczuciu“ jego dla Polaków, za jego piękne uśmieszki skierowane ku gwiazdom klasy niebieskokrwistych, za cenę wizyt, któremi ten szlachetny książę raczy zaszczycić nasze salony. Sekunduje im ze wszystkich sił „liberalny“ Kraj

[1]) Można dostać w księgarniach Lwowa i Krakowa.

petersburski starając się hymnami pochwalnymi zagłuszyć echa grudniowych gwałtów policyi carskiej. A Imeretyński chytry lis w owczej skórze umie wszystko zwalić na „nakaz z góry“ wbrew jego usilnym prośbom i przedstawieniom, pochlebcy zaś robią ze swej strony, co mogą. Właśnie nadarza się im świetna sposobność. Rząd zaprowadza system uczenia literatury polskiej w języku ojczystym.

Co za wspaniałe dobrodziejstwo! — wołają niedobitki „ugody“: — i ten marny ochłap rośnie w ich słowach i fantazyi warszawskiego filistra do wprost niebywałych rozmiarów. „Kraj“ głosi „tryumf“ polityki ugodowej, opinia publiczna zdziwiona — a łaskawy generał gubernator zaciera ręce z radości, że sobie tak łatwo kupił sławę i okpił opinię publiczną. Zastanówmy się jednak bliżej, my uczniowie, których chyba ta sprawa najbardziej obchodzi, czy w istocie mamy się z czego cieszyć.

Jakaż to będzie nauka? koledzy z Galicyi żalili się na niedobrze obrobiony podręcznik szkolny, często nawet usiłujący tendencyjnie w fałszywem świetle przedstawić danego autora lub dzieło. A cóż dopiero ma się dziać u nas, gdzie literatura nasza będzie w podręcznikach szkolnych niemiłosiernie obdzieraną z najpiękniejszych dzieł przez carską cenzurę, gdzie najznakomitszych autorów będą się starali obniżyć jak najbardziej w ich zasługach, po to, by wykazać „wyższość“ kultury i literatury rosyjskiej nad polską. Wy tam w Galicyi możecie mieć i macie z pewnością niektórych profesorów uczciwszych i wykształceńszych, którzy braki podręcznika uzupełnią i fałsze sprostują — u nas, niestety o czemś podobnem i marzyć nie można, bo prawie wszyscy profesorowie w Królestwie to zgraja szpiclów i karyerowiczów, mająca nas wychowywać na „błagonadiożnych“ poddanych rosyjskiego caratu: a choćby się nawet i znalazł jakiś porządniejszy nauczyciel, to musi uszy stulić jak trusia, jeśli nie chce się ujrzeć pewnego pięknego poranku poza swoją posadą lub usłyszeć groźnego: „Pażałujtie w żandarmskuju“.

A nietylko, że żadnej korzyści nie przyniesie nam ta „nauka“ literatury polskiej, owszem, raczej zaszkodzi. Oto wytrąci niejednemu z rąk literaturę nielegalną. Dawniej, a raczej dotychczas niejeden ojciec-filister godził się w ostateczności i na nielegalne kształcenie się syna, bo wiedział że zakaz nie wiele poskutkuje i w duchu sobie myślał: „Zawsze tam lepiej by mu coś z tego w głowie zostało“; teraz zaś będzie miał do użytku daleko silniejszy kontr-argument, bo pocóż — rzeknie — czytać ma w domu w ciągłej obawie „wylania“ z gimnazyum lub nawet „ula“, kiedy teraz może sobie spokojnie w szkole uprawiać literaturę. I słabsi na duchu a zwłaszcza młodzi, mniej samodzielni, będą musieli uledz. My więc, rewolucyjna młodzież polska, pojmujemy ten nowy ewentualny ukaz nie jako dobrodziejstwo, a jako jeden z częstych i podstępnych zamachów rządu carskiego na naszą młodzież, jako jeden ze sposobów zlojalizowania Polaków. Dlatego nam, świadomym bardziej rzeczy z pośród ogółu młodzieży polskiej w Królestwie, nie grozi żadne niebezpieczeństwo, owszem umacnia nas na duchu, bo w tym fakcie widzimy, jak słabym w obec nas jest rząd carski, gdy przekonawszy się, że nic nie wskóra gwałtem i przemocą, musi się uciekać do chytrej, żmijowej polityki głaskania Polaków, po to, by uśpiwszy ich czynność, łatwiej mógł kąsać. Ale niedoczekanie!

* * *

„Promień“ dochodził do Warszawy dotychczas nieperyodycznie i jak na dziś w niedostatecznej ilości egzemplarzy, teraz jednak ma być przesyłka uregulowana. Dlatego właśnie rozszerzyła się tu „Teka“. Teraz jednak, gdy stanęła na ciasnem stanowisku partyjnem, zamiast wyrabiać w młodzieży samodzielność i krytycyzm, gdy się stała wprost forpocztą „Przeglądu Wszechpolskiego“, straciła popularność wśród myślącej młodzieży: zwłaszcza po niecnej a zupełnie nieuzasadnionej napaści na Wasze pismo wszędzie ją rugują a zastępują „Promieniem“, któryśmy już przyjęli za swój organ. Kto czyta oba pisma nie może mieć dwu zdań.

. . . .

Aresztowania nie zgnębiły nas — owszem podniosły i zwiększyły naszą czujność.

Z Kijowa.

27. marca 1900 r.

Jednostajne w ostatnich latach nasze życie uczniowskie urozmaicił nam w tych dniach, sprytny nie w porę żandarm miejscowy Diemientij Nowickij. Obłowiwszy się przy aresztach w ostatnim półroczu, dzięki niekonspiracyjności aresztowanych (Rosyan), zwrócił uwagę nasz stary fioł na młodzież, zamierzając prawdopodobnie ostatecznie wyplenić radykałów z ziemi ukraińskiej. Przedsięwziął w tym celu parę rewizyj, skutkiem których było aresztowanie gimnazyalistki 7 klasy p. Rewich i paru gimnazyalistów. Przy rewizyi zabrano „Remington“ (maszyna do pisania) i trochę nielegalnej literatury. Areszty dotknęły kolegów Rosyan.

Wogóle w ostatnich czasach daje się zauważyć pewna opieka „żandrów“ nad uczniami. Przyczyniły się do tego nieco aresztowania warszawskie podczas Bożego narodzenia, gdzie wzięto kilkunastu uczniów z rozmaitych miast zaboru i Rosyi. Utrwaliło to władze w przekonaniu, że istnieje w kraju organizacya młodzieży ze szkół średnich, na wykrycie której traci się obecnie energia żandarmska.

Czy to jest koniec aresztowań, na razie nie wiemy, przygnębienia wśród kolegów nie widzimy.

Żartując, odstraszamy niektórych od zbiorowych ćwiczeń z matematyki, zapewniając ich, że żandarm Nowickij uważa to za dowód „niebłagonadiożnosti“, ponieważ „matematyka prowadzi do logiki, a logika do rewolucyi“.

Ukr—c.

Z Warszawy.

Zimowy okres świąteczny odznaczał się niezwykłem podniesieniem. Warszawa wiła się od szpiclów. Chwytano każdego i wszystko, co było dla tej bandy „podozritielnym“*) — węszono więc inteligentów i robotników, panów i panie, doktorów i adwokatów etc., wogóle z tytułami i bez nich. Brakło tylko do licznej tej kompanii studentów i uczniów. Wkrótce jednak nadarzyła się sposobność. Zebrali się oni wypadkowo w dość znacznej liczbie (28) w mieszkaniu jednego z kolegów przy ulicy Chmielnej, celem uradzenia i urządzenia balu na wpisy. Wśrod zebranych była połowa uczniów prowincyonalnych, którzy do rodziców lub krewnych zjechali do Warszawy, jak zazwyczaj w czasie świąt. Ta okoliczność była osobliwie dla żandarmów interesującą. Nie spodziewając się najmniejszych złych następstw, uczniowie zbierali się gromadkami po 3, 4, 5 wchodząc. Widocznie to zauważyły szpicle, zgłodniałe żeru i „hejże na Soplicę“... Policya sądziła, że wsypując „schodku“**) (!!) Pana Boga za nogi schwyciła, uczniowie jednak w pierwszej chwili tylko ulegli przerażeniu — nie spodziewali się bowiem takiej wizyty — ale wkrótce widząc całe głupstwo swej sprawy, zaczęli nawet pokpiwać z policyi. Przyszli wreszcie i żandarmi. Zrobili rewizyę osobistą tudzież mieszkania, zgarniając szczególnie skrzętnie podarte papierki, rozrzucone po pokoju. Wielu z uczestników zebrania mając rzeczy, których nie chcieli pokazywać żandarmom — darli je; wyobrażam sobie złość żandarmów, kiedy składali i sklejali części listu miłosnego, sądząc, że schwytali nić jakiej „wielkiej tajemnej organizacyi“. Panowie żandarmi bowiem w swojej naiwności sądzili, że zebranie to było związane z celami agitacyjnemi — dobrze jednak nie mogli wyjaśnić z jakiemi, łamali więc sobie głowy nad tem, czy było to: „socialisticzesko-demokraticzeskoje“, czy „bratniej pomoszczi“*), widząc jednak swoją pomyłkę, a chcąc ją wynagrodzić pseudosprytem, utrzymywali z jadowitemi uśmiechami, że żadnemu nie wierzą ani oni, ani Ligin**) (który już wtenczas leżał w grobie — próbka prawdomówności żandarmskiej!). Po przewiezieniu wszystkich

---

*) podejrzanem.

**) zebranie.

*) bratniej pomocy.

**) były kurator okręgu naukowego w Warszawie.

do cyrkułu na Marszałkowskiej ul., gdzie nb. było ogromnie wesoło i szumnie, tak, że policya mówiła, iż tak wesołego „obszczestwa“*) w cyrkule jeszcze nie było, w nocy u wszystkich w mieszkaniach robiono rewizje. Trzeba było widzieć głupie i zaspane miny policyi, ściągniętej z całej Warszawy na rewizye. Ale nie tylko miny znamionowały spryt vel głupotę policyi, bo rewizye były robione niezwykle oryginalnie: brano wszystko, co było pod ręką, a więc prawidła pisowni, wydane przez Akademię krakowską, wykład zoologii i t. p., omal, że nie brano podręczników szkolnych. Policya ogromnie się dziwiła, że nigdzie nie znalazła ani drukarni ani składu nielegalszczyzny i tylko kiwając głowami, brali z minami ogromnych znawców rozmaite śmiecie. Po rewizyi $^3/_4$ aresztowanych przewieziono do aresztu policyjnego w ratuszu, $^1/_4$ t. j. prawie wszystkich uczniów warszawskich, uwolniono. W kozie było w pierwszej chwili może mniej wesoło niż w cyrkule; uczniowie nie spodziewali się takiej przejażdżki, ale wkrótce humory się poprawiły, i animusz wrócił. Zaczęto sobie opowiadać anegdoty, kawały i t. p. W tydzień dopiero zaczęły się badania, o których wspomniałem wyżej, naturalnie z nieodzownem w takich razach przysięganiem się żandarmów na honor i rozmaite świętości, że już o wszystkiem wiedzą, żeby się przyznać, bo to zmniejsza winę. Przez tydzień niemal ciągnęły się badania, aż wreszcie uczniów prowincyonalnych wypuszczono ze „strażajszym prikazom“**) udania się w ciągu 24 godzin do gimnazyum „k'swojemu naczalstwu“*). Pozostało wówczas w ratuszu tylko 7: trzech studentów (Bochenek, Moczarski i Zubowicz), dwóch uczniów (Ehrenkreutz i Staszyński) i dwóch cywilnych (Dąbski i Krzeczkowski).

Ci siedzieli jeszcze w ratuszu około trzech tygodni i następnie byli przewiezieni: Dąbski do cytadeli, a reszta do więzienia śledczego przy ul. Dzielnej, czyli na t. zw. Pawiak. Tu siedział już każdy oddzielnie. Na ponownych badaniach starano się im dowieść, że chcieli zawiązywać: „protiwoprawitielstwiennyja obszczestwa*) (?!!?). Uwolniono bez kaucyi wszystkich, ale nie odrazu; naprzód akad. Zubowicza i ucznia Staszyńkiego, we dwa tygodnie Krzeczkowskiego, a wreszcie pozostałych czterech.

*) towarzystwa.

**) najsurowszy nakaz.

*) do swego zwierzchnictwa.

Z Rzeszowa.

Smutno u nas smutno! Większość młodzieży, to głazy bez serc i ducha to karły, dla których jedynym ideałem — możliwie najwyższy szczebel karyery, — dla których myślą przewodnią — samolubne szczęście i zaspokojenie zmysłowych potrzeb. — Wszelkie szczytniejsze uczucia, zapał, ogień poświęcenia się i zaparcia osobistego zgasł, zalany prawdziwym potopem słowa reakcyonistów i czasem tylko błyśnie ze zgliszczów maleńka iskierka, ale na to, by buchnąć na chwilę jasnym płomieniem a potem za lada powiewem przeciwnego wiatru zniknąć na nowo w popiołach. Wprawdzie na pozór jednostki te, to ludzie idei, wprawdzie na pozór rzucają one w około jakby snopem świetlnych rakiet, zdawkowymi frazesami o gorącej miłości ojczyzny, o konieczności pracy, ale kiedy słowo przyjdzie stwierdzić czynem, wówczas okazuje się w całej pełni ich nagość duszy, płaskość umysłu i bezdenna próżnia uczucia. I wtedy to mimowoli wyrywa się słowo rozpaczy a zarazem pogardy dla nędznych pigmejów: „To samoluby“!

Są jednak inni jeszcze gorsi! O! tych to każdy z pownością zna, tych nie brak nigdzie, a szczególnie między młodzieżą. To patrycyat studencki, to „arystokracya“, składająca się głównie z potomków zbankrutowanej szlachty, oficyalistów, urzędników lub nawet (o ironio!!) z synów wyrobników. Te „błyszczące gwiazdy“ i „słońca prawdziwe“, ubrane w najnowszego kroju mundury ufryzowane wspaniale, z bukietem i glansowanemi rękawi-

*) Przeciwpaństwowe towarzystwa.

czkami w dłoni nadają „szyk“ gimnazyum, stanowią „przednią“ część i chodzą w deputacyach do „władzy“. Cóż bowiem wobec nich znaczy ten szary tłum „proletaryuszów“, którzy chodzą w wyszarzanych mundurach, nie chodzą po rozmaitych „Grand hotelach“, a co gorsza czasem do ust nie mają co włożyć?! Przecież ten proletaryat, który nie ma „zdrowych poglądów“, nie umie tańczyć w lokajskich liberyach, nie ma „silnych pleców“, nie może chyba marzyć o intratnych posadach starostów, dyrektorów i t. p., nie może reprezentować gimnazyum.

Ale proletaryat w lepszej swej części to młodzież o gorącem uczuciu patryotycznem, odwadze cywilnej i przedewszystkiem o niezniszczonej jszcze etyce moralnej. Widząc na około siebie groźne niebezpieczeństwa, a nie znajdując prawie nigdzie poparcia i pomocy, młodzież ta musi albo zuchwale stawiać czoło przeciwnościom, albo też opuścić ręce, cofnąć się i pozostać bierną. Ona jednak nie wybiera drugiego, ale śmiało podnosi głowę, wytyka obojętnym ich apatyę, pragnie wzbudzić wszelkimi sposobami, energię czynu, toczy walkę zaciekłą przeciwko rozpanoszonemu klerykalizmowi i powiewając wszędzie sztandarem czynu usiłuje nowe przysporzyć zastępy bojowników w sprawie ludowej, usiłuje z za gruzów i zgliszcz dobyć iskierkę ale trwałą, któraby zapłonęła wiecznym zniczem poświęcenia i patryotyzmu. I od pracy tej nie odstraszą falangi młodych rycerzy prawdy ani prześladowania sklerykalizowanej kliki gimnazyalnej, ani drwiny i szyderstwa naszej „arystokracyi“, (!!) ani mentorskie głosy opasłych kaznodziei.

Z Brzeżan.

Po przeczytaniu korespondencyi z Brzeżan, zamieszczonej w ostatnim numerze „Promienia“ zauważyłem, że autor tejże dość łagodnie i dość pobieżnie osądził postępowanie ks. kanonika. Dlatego jako długoletni, a obecnie już po maturze będący jego uczeń uważam za stosowne dodać parę bliższych szczegółów o nim, jakoteż nieco o obecnej młodzieży gimnazyalnej.

Młodzież gimnazyum tutejszego spoczywała dotychczas w długotrwałym śnie umysłowym — z nauk zajmowało ją to tylko, do czego zmuszały ją obowiązki szkolne, a o świecie, o polityce nikt nigdy nie śmiał wspomnieć, bo ksiądz kanonik głosił, że polityka nic nie powinna obchodzić ucznia. Jednak mimo to muszę wspomnieć o dodatniej stronie tej młodzieży: nigdy nie zapomniała o swej ojczyźnie, o swej przeszłości, a objawem tego są obchody patryotyczne, urządzane przez nią rok rocznie, pomimo zakazów, gróźb i mszczenia się księdza kanonika na tych, którzy je urządzali i kierowali śpiewem „pogańskich pieśni“. (W ostatnich czasach jeden stracił przez to rok, a kilku musiało płacić dydaktrum z powodu złej noty w obyczajach). Obecnie przygotowują się gimnazyaliści do obchodu „Trzeciego maja“.

Lecz ksiądz kanonik sam sprzeciwia się swemu (a raczej Jezuitów) zdaniu, że młodzież nie powinna polityką się zajmować; każe bowiem uczyć wychowanków swej bursy „sztandar czerwono-biały“ ks. Wróblewskiego T. J. sztandar dla robotników katolickich. Jak daleko postąpił ks. kanonik! Uważa już swych wychowanków wprost za robotników (dla karyery), a nie za uczniów. Przynajmniej działa otwarcie. Co więcej! Głosi „ex cathedra“, że ten, który dowiedziawszy się co o swym koledze, doniesie mu o tem, nie jest wcale szpiegiem, ani donosicielem, lecz, że to jest obowiązkiem każdego ucznia. Dobrze przynajmniej, że te zasady przyjmują się tylko wśród niektórych wychowanków bursy! Ot przynajmniej kiedyś dostanie ksiądz kanonik order za to, że dostarczył wielu zdolnych agentów policyjnych społeczeństwu.

Ładny więc pokarm duchowy dostają wychowankowie bursy. Ale żeby to było za darmo lub pół darmo, to jeszcze pół biedy; a tu tymczasem nie ma w bursie ani jednego ucznia za darmo, ani za zapłatą kilku koron — (choć biednych nie brak) lecz wszyscy płacą drożej w bursie niż na prywatnych stancyach, — a kapitał żelazny rośnie rok rocznie o kilka tysięcy więcej, jak się ze sprawozdania dowiadujemy. Ale prawda — za to każdy

wychowanek może być pewny, że po wyjściu z bursy otrzyma rentowną posadę — agenta policyjnego. Gdyby tak wstał z grobu ś. p. fundator tej bursy i zobaczył. co w niej się dzieje, wyrzekłby pewnie te słowa: „Lepiejby było rzucić pieniądze w błoto!“

W ostatnich czasach pochwalił się — jak się dowiaduję — profesor języka polskiego pan St., że wraz z panem K. sprowadzili nowe książki do biblioteki gimnazyalnej jak np. „Worek Judaszów“ i t. p. Wcale ładny wybór — nie ma co mówić. Prus, Orzeszkowa, demoralizują zapewne, a wreszcie po co mają o nich wiedzieć uczniowie?

Zefir.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Rozbiór „Irydyona“. Zygmunta Krasińskiego, zastosowany do użytku młodzieży szkolnej przez prof. Jana Wilkosza. Nowy Sącz 1900.

W ubogiej literaturze naszej pożądanem jest zjawienie się każdej nowej pracy, zwłaszcza takiej, która mówi o rzeczy jeszcze niedostatecznie zbadanej lub skomentowanej. A dziwnym zbiegiem okoliczności u nas właśnie to, co najbardziej zasługuje na takie opracowanie, co jest wprost obowiązkiem zbadać i wyświetlić — czeka daremnie na spełnienie tego obowiązku. O ile wyżej pod tym względem stoją od nas inne narody, chociażby niemcy, ci niemcy, których literatura pełną jest najrozmaitszych studyów, rozbiorów, krytycznych ocen z powodu dzieł wielkich poetów i myślicieli, którzy nie tylko najdrobniejszego wierszyka Goethego lub Schillera nie zostawili bez komentarzy ale całe życie prywatne tych ludzi uczynili własnością narodu.

Nie zawsze jednak nowe dzieło czyni zadość odczuwanej potrzebie, nie zawsze wypełnia lukę, która i po niem pozostaje otwartą. W poezyi naszej dzieła Krasińskiego należą bezwątpienia do tych, których prawdziwe poznanie i należyte ocenienie, wymaga głębokiego wczytania się i odczucia nastroju ich, a przedewszystkiem wniknięcia i poznania moralnego i filozoficznego światopoglądu ich twórcy. Bez tego wszelkie usiłowania głębszego ocenienia utworów Krasińskiego pozostaną bez skutku.

Zupełnie też pracą nie dającą się zaliczyć do rzędu tych, któreby pogłębiły i rozszerzyły pojęcie ogółu o Krasińskim — jest „Rozbiór Irydyona“ prof. Wilkosza. Co prawda jest on przeznaczony dla młodzieży, ale to właśnie zdaniem naszem podnosi skalę żądań stawianych. Stopa wymagań intelektualnych młodzieży, kończącej już szkoły średnie nie jest wcale tak niską, by zadowolniła się tem, co nie daje mu nic nowego, nic świeżego. A prof. Wilkosz, jakkolwiek przeznacza swą pracę dla młodzieży, nie daje w niej nic takiego, coby mogło pobudzać do myślenia, lub samo dawało oryginalne myśli.

Na 83 stronach książki dużego formatu (92 str.) mieści się bardzo szczegółowa treść „Irydyona“. Wiadomą jest rzeczą, że takie drobnostkowe podawanie treści jest nieodpowiednie. Nuży ono niepotrzebnie tych, którzy znając ją dokładnie, radziby znaleść trochę oryginalnych poglądów na genezę, znaczenie wpływ i rozwoj poematu — nie zachęca również tych, którzy nie znając treści odniosą większą korzyść zapoznając się z nią w samym oryginale.

Oczywiście, wypełniwszy niemal całą zawartość książki treścią, autor nie mógł, czy też nie chciał poświęcić drugie tyle miejsca na właściwy rozbiór. Psychologicznego wytłumaczenia charakterów n. p. nie znajdujemy niemal wcale, a jeszcze mniej uwzględnił autor etyczny i filozoficzny podkład „Irydyona“. Prócz kilku drobnych porównań jak Irydyona z Konradem, Masynisy z Halbanem, Elsinoi z Aldoną, szukamy daremnie jakichś głębszych myśli. A nawet i te nieliczne zboczenia od zwykłego szablonowego tonu, tracą wartość przez to, że autor zajmuje nienaturalne prawomyślno-moralizatorskie stanowisko, że się okazuje „plus catholique, que le Pape“. Tak samo zbytecznem jest zdaniem naszem ścisłe zaznaczanie różnicy, jak to autor czyni między „bohaterem klasycznym“ a „bohaterem chrześcijańskim“ i kategoryczne twier-

dzenie co wolno temu, a co tamtemu. Specyalnie zaś w tym wypadku nie można przeprowadzić takiej absolutnej różnicy, chociażby dlatego, że ani Irydyon nie jest zupełnym i wiernym typem „bohatera klasycznego“, ani Konrad Mickiewicza nie jest bohaterem czysto-chrześcijańskim. To co obie te kreacye czyni wielkimi, gigantycznymi typami w literaturze — jestto potężne uczucie miłości kraju, spotęgowane do najwyższego stopnia żądzą zemsty za doznane krzywdy. Ażeby zaś to uczucie stało się podnietą do wielkich czynów, musiało opanować niepodzielnie całą istotę swych bohaterów i stłumić, ogarnąć, spalić w sobie wszystkie inne, a więc i względy etyki. To też nie można porównywać obu bohaterów ze stanowiska etyki, tem mniej zaś przypisywać któremu kolwiek wyższość, jak to czyni prof. Wilkosz, dla którego Konrad pod względem etycznym mniej wart, co nawet według niego sam Mickiewicz przyznał — bo... bo pozwolił bohaterowi swemu zginąć samobójstwem!.. Chyba zapomniał prof. Wilkosz o słowach: „jakem wielki, dumny...“ które wypowiada umierający Konrad. Takich oryginalnych poglądów zawiera więcej książka prof. Wilkosza.

Kto z młodzieży samodzielnie studyując „Irydyona“ nie pojął go — temu po przeczytaniu tej książki niewiele więcej rozjaśni się w głowie. *J.*

Kronika.

Dnia 6. kwietnia b. r. zszedł z tego świata kol. Włodzimierz Rogosz. Urodzony w r. 1880 w Nowem Siole, w powiecie stryjskim w Galicyi, przez cały czas nauk gimnazyalnych należał do najlepszych uczni, a co nie często się zdarza i do tych, którzy wszelkiemi siłami starają się wzbogacić umysł i serce po za szrankami oficyalnej nauki. Mając gorące i szlachetne serce, nabytej wiedzy, nie zamykał w sobie, ale dzielił się z nią z każdym z towarzyszy, skoro widział, że jej szczerze pragnie.

Już w czasach szkolnych inicyatywą swoją stworzył wśród kolegów kółko samokształcenia, później już na uniwersytecie brał żywy udział w życiu społecznem, będąc członkiem krakowskiego „Zjednoczenia“, stow. postępowej młodzieży polskiej. Wogóle była to jednostka czynna, pełna energii i inicyatywy, która porywała i zachęcała innych do pracy. Dziełem Rogosza również było wychodzące od listopada r. 1898 w Krakowie czasopismo akademickie „Młodość“, gdzie drukował wiele swoich prac, z których bił zawsze młodzieńczy, szlachetny zapał, rozbrajający nawet przeciwników. Gdy stańczykierya krakowska rozpoczęła ohydną kampanię przeciwko prof. Baudouin de Courtenay, Rogosz był jednym z tych, którzy zorganizowali szeregi młodzieży w obronie prof. Baudoni'a, a przeciw intrygom stańczyków.

Trudno by było wspominać tu o tych wszystkich wystąpieniach Rogosza, czy to na zgromadzeniach publicznych, czy wiecach młodzieży. Wszędzie jednak, gdzie występywał, dawał się poznać zawsze ze swoich szczerych, prawdziwych przekonań postępowych, a przedewszystkiem uczciwego i szlachetnego charakteru. Dodamy tylko jeszcze, że pismo nasze miało w Rogoszu szczerego zwolennika i w znacznej części dzięki jego staraniom, „Promień“ zdobył sobie tylu zwolenników wśród krakowskiej młodzieży szkolnej.

Cześć pamięci dzielnego człowieka! *X.*

W „Głosie wolnym“ z dnia 5. kwietnia 1900 r. w artykule p. t. „Pisma dla młodzieży gimnazyalnej“, znajdujemy kilka bardzo rozumnych uwag. Autor wskazując w jak ciężkich warunkach znajduje się społeczeństwo nasze, jak wielu i groźnych ma wrogów wewnątrz i na zewnątrz, na zwalczanie których trzeba jak najwięcej dzielnych sił — słusznie zaznacza, że w tej walce brać udział jest obowiązkiem zwłaszcza młodzieży.

Uznając pismo nasze, jego kierunek i pracę za pożyteczne i przyczyniające się choć w małym zakresie do ideału naszego odrodzenia, tak dalej pisze:

„Reakcya zrozumiała, że tą drogą można ogromnie wpływać na młodzież i oto zjawiły się nowe pisma dla młodzieży: „Teka“, „Przyjaciel młodzieży“ i „Jutrzenka“.

„Teka“ w 1. nr. roku bieżącego oznajmia, iż jest organem młodzieży „demokratyczno-narodowej“ i że o dziwo, jako taka „wypleniać będzie te chwasty, jakie stronnictwa socyalistyczne i ich prasa sieją wśród naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem wśród młodzieży“.

„Ustęp ten przytaczamy jako charakterystyczny. Organ „demokratyczny“ ma zwalczać socyalizm, któremu chyba ostatni osieł albo czło-

wiek nieuczciwy zarzucić może brak demokratyzmu i postępowości. Jakże więc organ mieniący się demokratycznym może zwalczać socyalizm... Czyż można uważać za pożyteczny organ, pismo, które zamiast wyrabiać w młodzieży niezależność myśli i krytycyzm, staje na partyjnem stanowisku, zwalcza ruch szczerze demokratyczny i postępowy.

Czyż kierownicy „Teki“ zastanowili się nad tem, że takie wystąpienie odrazu demaskuje ich w oczach młodzieży, że wreszcie w tej szkodliwej pracy znajdą takich sojuszników, jak „Przyjaciela młodzieży“, redagowanego przez profesorów-urzędników i „Jutrzenkę“, redagowaną przez księży?“

Tak piszą prawdziwi, osiwiali w służbie dla kraju patryoci. W ich ślady wstępujcie pigmeje.

W sejmie czeskim wystąpił poseł Szamanek z wnioskiem żądającym zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka rosyjskiego w czeskich szkołach średnich. Dla wszechrosyjskiej idei państwowej ważny to i bardzo pożądany objaw, to też pisma rosyjskie cieszą się z tego najświeższego „tryumfu ducha rosyjskiego“, a chcąc jak najrychlej całą sprawę w właściwym kierunku posunąć, proponują zwołanie „kongresu słowiańskiego“ do Petersburga, który zająłby się „sprawą szerzenia ducha rosyjskiego“ w Czechach. Chwalebnej żądzy zbliżenia się i poznania wielkiej kultury, wielkiego narodu bratniego, nie ostudza oczywiście ta jej właściwość, że zaczyna się od języka a kończy nahajką i knutem. Ale to właśnie jest najbardziej oryginalnem i pociągającem dla „współplemieńców“ z nad Wełtawy.

Jak się dowiadujemy, ministerstwo wyznań i oświaty reskryptem z dnia 9. marca b. r. polecił, by równorzędne klasy ruskie w gimnazyum w Kołomyi oddzielono i pomieszczono w oddzielnym budynku. Rozporządzenie to obowiązuje od początku roku szkolnego 1900/901. Powstanie więc w Kołomyi samodzielne gimnazyum z wykładowym językiem ruskim.

Uniwersytet ludowy im. Adamа Mickiewicza zyskał popularność w całym kraju. Do istniejących już Oddziałów, rozwijających gorliwą czynność wykładami popularnemi (Stanisławów, Jarosław, Przemyśl, Kraków), przybyły w tych dniach i dalsze. W czasie świąt wielkanocnych wykładał inż. Libański w Tarnowie, w Zakopanem i Krakowie, a w niedzielę 22. b. m. w Borysławiu.

Wykłady tego niestrudzonego prelegenta i propagatora „Uniwersytetów ludowych“ u nas, cieszą się wszędzie nadzwyczajnem powodzeniem. Oby przykład ten znalazł wiele naśladowców dla „tryumfu światła“ w kraju analfabetów.

W Zakopanem, jak pisze „Przegląd zakopiański“, Uniwersytet ludowy prawie wstępnym bojem zyskał grono zwolenników i chętnych słuchaczy; dwa wykłady z dziedziny kosmografii zachwyciły wprost słuchaczy i nie ma wątpliwości, że wykłady znajdą tam niezmiernie wdzięczną publiczność, górali i młodzież rzemieślniczą. Podobnie rzecz się ma w Tarnowie i Borysławiu. Oprócz wykładów z dziedziny nauk przyrodniczych, które rozświetlają światopogląd ogólny, odbywać się będą wykłady z historyi Polski oraz literatury. Niechaj więc młodzież polska kształcąca się, pamięta, że powinna wiedzę, którą posiędzie, udzielać wedle sił i możności... Światła więcej, światła nam trzeba!

Pierwsza czytelnia bezpłatna pism i książek otwartą zostanie staraniem Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza we Lwowie 1. maja b. r. Starajcie się koledzy o poparcie pismami, książkami, agitacyą, by i to źródło oświaty stało się godnem imienia ukochanego wieszcza.

Nowa Ref. donosi: W przeszłym roku rosyjskie ministerstwo oświaty powołało komisyę pod przewodnictwem jednego z inspektorów okręgowych petersburskiego okręgu naukowego celem opracowania reformy przepisów o egzaminach rocznych i promowaniu uczniów z klasy do klasy, jakoteż o egzaminach ostatecznych w szkołach średnich.

Komisya ta ukończyła obecnie swe prace i przyszła do następnych wniosków: Obowiązujące dzisiaj egzamina przejściowe, odbywające się w niektórych klasach ze wszystkich przedmiotów (klasa IV. i klasa VI. gimnazyalna), w innych zaś klasach tylko z niektórych przedmiotów, i to zarówno ustne, jak pisemne mają być zniesione. Uczniowie będą promowani z klasy do klasy na podstawie stopni rocznych, przyczem za dostateczny stopień uważa się 3 w systemie pięciostopniowym. Jak wiadomo, dotychczas uwalniano od egzaminów tylko tych uczniów, którzy mieli z głównych przedmiotów (rosyjski, matematyka, łacina, greka) średni stopień bardzo dobry (4), a z innych przedmiotów dostateczne.

Uczniowie, mający stopień niedostateczny z jednego lub dwóch przedmiotów w przeciętnym wyniku rocznym będą dopuszczeni do egzaminu z tych przedmiotów celem poprawienia stopnia: ci zaś, którzy mają stopień niedostateczny więcej,

jak z dwóch przedmiotów, nie będą dopuszczani do egzaminu poprawczego, lecz pozostają w tej samej klasie na drugi rok.

Egzamina mają być tylko ustne; pisemne będą utrzymane tylko dla egzaminów ostatecznych i tylko z języka rosyjskiego.

Proponowana reforma egzaminów odnosi się do szkół średnich w całem państwie rosyjskiem, a więc i w Królestwie Polskiem. Jest to reforma wielkiej doniosłości, usuwa bowiem mechaniczny sposób promowania uczniów, i to sposób w wysokim stopniu niepedagogiczny, ponieważ powszechnie wiadomo, że egzamina wytwarzają nienormalny stan psychologiczny ucznia, a więc nie dają sposobności przekonania się o zakresie jego rzeczywistych wiadomości i o jego uzdolnieniu. Szczególnie w gimnazyach i progimnazyach Królestwa Polskiego system egzaminów doprowadzony był do czysto mechanicznego pedantyzmu.

Bibliografia.

Z końcem kwietnia b. r. ukazała się na półkach księgarskich powieść Wł. Orkana p. n. „Komornicy".

Odpowiedzi od Redakcyi.

Jednemu z 14. Zupełną słuszność, zdaniem naszem, mieli koledzy wyzn. mojż., żądając umieszczenia fotografi swego nauczyciela religii wśród grona profesorów. Tem bardziej nietaktowne i nierozsądne sprzeciwienie się temu ze strony profesorów. Zresztą ludzie, którzy cenią człowieka według liczby gwiazdek na kołnierzu, dają tem samem najlepsze świadectwo swojej wartości.

Kol. z Wadowic. Korespondencya odłożona do następnego numeru.

Kol. z Ukrainy. Dla braku miejsca sprawozdanie odłożone do numeru czerwcowego.

Wszystkim kol., którym nie odpowiedzieliśmy na tem miejscu, odpisaliśmy listownie.

Od Redakcyi.

Przypominamy wyrównanie prenumeraty za II. kwartał.

W ostatniej chwili dostaliśmy następującą odezwę, wydaną przez gimnazyalistów lwowskich na uroczystość 3 maja:

Rodacy!

Zbliża się rocznica ważnej w dziejach narodu polskiego chwili, rocznica wielkopomnej konstytucyi 3 Maja. Chwila to była rzeczywiście ważna, bo wtedy po raz pierwszy złączono nierozerwalnym węzłem kwestyę bytu politycznego Polski z kwestyą społeczną. Wtedy to po raz pierwszy, dzięki niestrudzonej działalności ks. Hugona Kołłątaja i innych, okazała się w ziemiach polskich dążność całego szeregu szlachetnych jednostek do wyzwolenia szerokich mas proletaryatu z pętów ucisku klasowego, zawisłości tak ekonomicznej jak i osobistej i wiekowych upośledzeń, wtedy to na sztandarze niepodległości politycznej wypisano: „Niech wolność polityczna przykuje żelaznem ogniwem i wolność społeczną i niech ta wolność nie będzie niewolą dla klas nieuprzywilejowanych, ale niech błyśnie promieniem równości i braterstwa!"

Rodacy! Obowiązkiem każdego prawego Polaka jest święcić konstytucyę 3. maja, bo w niej nie czcimy samego faktu ale składamy hołd wszystkim hasłom demokracyi i postępu, bo w niej wieńczymy laurem skronie bohaterów wszechwładztwa ludowego a zarazem piętnujemy fakt przystąpienia zdemoralizowanej kliki szlachecko-arystokratycznej do związku moskiewskich służalców!

Po wezwaniu do składania datków dla uświetnienia obchodu, kończą autorzy następnymi słowy:

Pokażcie zarazem tym szeregom pigmejów, które oddane zimnemu samolubstwu i materyalizmowi szukają w rynsztokach brudu zaspokojenia zmysłowych uciech, że biją jeszcze serca prawe i gorące, że istnieją masy, które uznają wyższość idei nad materyą, które myślą i czują!

Młodzież polska.

Wydawca: Władysław Wolski Odpow. redaktor: Aleksander Wieleżyński

Z Drukarni Udziałowej, Lwów, Lindego 8.